

Wpisano do kontroli periodyków
19 Rejonowej Wypożyczalni Książek
dla Dorosłych
Dn. 9 IV 1960

odgłosy

TYGODNIK
ŁÓDZKI
Rok III
Łódź 10. IV.
1960 r.
Nr 14 (110)
Cena 1 zł



Str. 1, 2
6, 7

ZBIGNIEW CHYLIŃSKI

NIE ZNAM SIĘ NA TYM



Etiuda „Czarne i białe”, reż. A. Osiecka

Obejrzałem serie etiud studentów naszego filmowego przedszkola. Nie będę ich oceniał, bo się nie znam a ponadto nie jestem krytykiem. A gdybym się nawet nie znał a był krytykiem, to też bym nie oceniał. Krytycy literaccy też nie zajmują się poprawianiem błędów w szkolnych wypracowaniach.

Nie będę wymieniał tytułów etiud i nazwisk autorów, nie chciałbym bowiem (również) w przyszłości wychodzić na idiota. Postąpię tedy zgodnie z maksymą wyrażoną przez pewnego dijanego starszaka, który nad ranem, w knajpie, z przykalku podawał mi pałto: „Ja każdemu gówniarzowi podaję pałto, bo nigdy nie wiadomo, co z tego wyrośnie”.

Etiudy były różne: długie i krótkie, czarno-białe i kolorowe, wesołe i tylko śmieszne, złe i dobre. Była jedna koszmarna, a traktowała o dziewczynie w złe uszytej podszawie, która robi miny w pałacu i ma męża idiota, z czego ostatecznie nie nie

(Dalszy ciąg na str. 7)

STANISŁAW LIPKO
Dyrektor Uniwersytetu Robotniczego ZMS

APOSTROFA DO DOROSŁYCH



Czy proces przeciwko wsi? — na str. 5



1. CZYSTY PŁYN I FUSY

Najprzód zastrzeżenia. Młodzież jest różnorodna co do składu socjalnego, struktury psychicznej, sposobów zachowania się i innych cech osobistych i zbiorowych. Są wśród niej bardzo zdolni, bardzo dobrze ułożeni, bardzo porządnie prowadzący się młodzi ludzie — najczęściej zwani „maminsynkami”. Są też bardzo niezdolni, zaniedbani moralnie, źle się prowadzący. Są to owi „chuligani”. I z tymi najczęściej kłopotu.

Ale między tymi dwiema skrajnymi grupami mieści się ogromna masa młodzieży pośredniej tzw. „nijkiej”. Ona to stanowi większość ilościową, lecz nie jakościową młodego pokolenia. Z powodu swojej szarości i pospolitości na co dzień — nie rzuca się w oczy, jest jak gdyby niezauważalna.

Odmienne rzecz ma się z drobnym procentem młodzieży bardzo zdolnej i bardzo zaniedbanej. Dla pierwszej grupy są różne olimpiady, zgaduj-zgadule, quizy, popisy, występy, na których błyszczą, brylują. Dla drugiej, nielicznej grupy, areną popisów są ulice, ciemne podwórka, nie oświetlone klatki schodowe i parkowe zakątki. Ta grupa młodzieży swoim aspołecznym postępowaniem wywołuje gromy starszego pokolenia. Spadają one obficie na całą młodzież, a głównie na Boga ducha winnych, pocziwych szaraków. To naturalnie podnieca ich do oporu, zaciekawia egzotyka wypadków i w ten sposób część z nich wciąga się do grupy młodzieży „nieuczesanej”.

Myślę, że alarmowe tam-tamy w prasie, kinie, telewizji, powieściach, odczy-

tach, na wystawach itp. — dotyczą właściwie niewielkiego procentu młodzieży zaniedbanej, a rzucają cień na całą młodzież całkiem niesłusznie.

Nie przesadzajmy. Kilku dziesięciu chłopaków w buraczkowych porteczkach, kilka panien z niedomytą szyją w „Egzotycznej” — to nie cała młodzież łódzka. To są tylko fusy młodzieżowe. Naturalnie przy klarowaniu się tak olbrzymiej masy płynnej jaka jest młodzież — na dnie zawsze będą fusy. I te trzeba oddzielać od płynu wyklarowanego.

DZIECI PATRZĄ NA NAS

Zajmijmy się zatem tą olbrzymią większością chłopaków i dziewcząt, która średnio się uczy, myje się regularnie, używa grzeblenia i szczotki, ale chce się zabawić, trochę polobuzować, trochę popłirtować — jednym słowem przeżyć swój wiek normalnie, zgodnie z naturalnym rozwojem człowieka.

A więc do rzeczy.

Mówimy: młodzież nie ma ideologii. Trochę w tym prawdy. Najczęściej przytaczamy fakty, że „jak my byliśmy młodzi, to ho, ho, panie dzieju...” Tymczasem i my lepsi nie byliśmy. Ież to naszych psikusów pamiętają mury szkolne, ulice, parki, ściany domu rodzinnego?

A dzisiaj? Ież to brzydkich naszych psikusów widzi młodzież w życiu publicznym. A owe złodziejstwa zwane mankami, defraudacjami, łabówkami, prowizjami, czyż to budujący przykład dla młodych pokoleń? A rozwody, pijanstwa, domowe kłótnie i bójkę — czyż to nie poruszający obraz życia rodzinnego?

Młodzież odczuwa brak wielkich ideałów. To fakt. Walka o niepodległość wygraną. Walka o miłyca Polkę socjalistyczną — okazała się bluffem. Walka o socjalizm przedstawia się w programie nauczania, mgławicowo, bez kształtu. Walka o pokój — dla młodzieży nie znającej wojny — to literacka antyfona.

Czy działają może nakazy i zakazy moralne? Ale skądże! I te są różne i różnie tłumaczone. Szkoła swoje, kościół swoje, rodzice swoje, partia swoje i władza swoje, a młodzież swoje. W ustach jednych religia — to opium, u drugich znów — wieczne zbawienie. Cudowne obrazki — to według innych bluff i propaganda, według drugich fakt. Bywa, że niewierzący, chyłkiem jada oglądać cud na Muranowie. Zielarz półanalfabeta jest dla jednych szarlatanem, ale dla drugich zbawca życia. Zdarza się, że ci, którzy wiają weń gromami z trybuny — wieczorkiem biegną doń z buteleczką moczu.

Nie dziwcie się, dorośli, zarówno ci wieloletni, jak i bezdzietni (dziś pasowani do roli zbawców ojczyzny), że młody człowiek czasem wam nie wierzy. Ma jeszcze trochę uczuciowości. A z chwilą, kiedy uwierzy, jest już chuliganem życiowym.

Dalszy ciąg
na str.
2

APOSTROFA do DOROSŁYCH



(Dalszy ciąg ze str. 1)

Tatusiowie i mamusi! Dobrych przykładów to my naszej młodzieży niewiele damy. Trochę przestarzałych i zwietrzałych ideałów z naszej młodości? Trochę kazań? Czy to wystarczy?

RZECZ O KOWADŁACH CZYLI NIE SZUKA UCZYĆ, SZUKA NAUCZYĆ

Czy jednak jest możliwość poprawy? Tak. Ale trzeba zharmonizować działalność wychowawczą wielu czynników tworzących razem atmosferę wychowawczą. Są to głównie: rodzina, szkoła, koledzy, organizacje, wreszcie całe społeczeństwo i stworzona przezeń władza państwowa.

Przywykliśmy zwać winę na rodziców i na szkołę: tak cie ojciec i matka nauczyli, albo: tak cie w szkole nauczyli. A przecież dzisiaj oba te kręgi oddziaływania wychowawczego są torpedowane przez szereg innych, niby też wychowujących.

Weźmy dla przykładu szkołę. Większość ideałów z lektury szkolnej już się przeżyła. Które dziecko dziś rozumie, co to jest ekonom z „Żericów” Szymonowicza, co to jest pańszczyzna i dziedzić, co to znaczy fabrykant. To są tak odległe rzeczy, tak jak tekst „Bogurodzicy” albo „Legendy o św. Aleksym” czy „Satyry na leniwych chłopów”. A podręczniki historii pełne szczegółów z życia tej czy innej partii, pełne żargonowych wyrażań — czy to porywa młodzież?

To są tylko kowadła, na których nauczyciel klepie uparcie programy i młoci młodzież.

Grono pedagogiczne i rodzice spotykają się od świta co okres i na galówkach szkolnych. Na zebraniach okresowych ojciec lub matka wysłuchuje, niby myśz pod miotłą, narzekań wychowawcy i podobnymi narzekaniami na własne dziecko czestuje wychowawcę. Potem uchwała się składki na szkołę, na kółka, na kółeczka, na wycieczki i — do domu. Systematycznej pracy z rodzicami jako zespołem, systematycznej pracy z pojedynczym rodzicem nie ma. Bo kto i kiedy ma to robić?

Tu też zagnieździło się dużo zakłamania, wygodnictwa i tchórzostwa. Rodzice nie chcą się narażać gronu nauczycielskiemu. Bywały bowiem przykre wypadki. Wygodniej potakiwać, nawet przemilnieć się uśmiechać.

Organizacje szkolne. Brak miejsca, brak czasu, brak opiekunów. Po południu szkoła zajęta. Nauczyciel biegnie wtedy za dodatkowy-

nie zmienilo. Ta sama jezykowo-retoryczna mieszanina dla „szlachetnej młodzi polskiej” przeznaczona, przydatna do „parlania” w saloni, do gardlowania na sejmiku, do pisanja w sadzie i domowo — sasiedzkich rozprawach słownych.

Nie widać w nich epoki atomu.

I dlatego szkoła odstrasza młodzież, bo ani tryb zajęć, ani treść nauczania, ani cel nauczania nie są interesujące. Uczy się dzieciak, żeby nie iść do PGR.

PRZYBLADE JUŻ „KAGANEK OŚWIATY”

Programy idą do przewietrzenia i przepielenia. I słusznie. Szkoła jest środowiskiem sztucznym w rozwoju dziecka. Nie jest ona przecież domem rodzinnym, ani prawdziwym życiem społecznym, nie jest młodzieżową organizacją. Młodzież jest tu w pewnego rodzaju izolacji od tego, co się dzieje naokoło.

Tak było, jest i długo będzie. Ale można tę sztuczność złagodzić przez zbliżenie jej czynności do prawdziwego życia społeczeństwa dzisiejszego a nie minionego.

Szkoła jest sztucznym tworem choćby dlatego, że wykonuje ona zadania nałożone na nią przez społeczeństwo, przez określone obiektywne warunki społeczne. Podczas kiedy dziecko, młodzież rozwija się i dąży do celów subiektywnych takich, które są właściwe dziecku jako jednostce rozwijającej się fizycznie i psychicznie według praw swolstych.

Społeczeństwo nakłada obiektywne zadania szkole i młodzieży, a ta znowu nie może ich dopasować do swojej indywidualności. Stąd obecność szkoły i konfliktu między — dorosłymi.

Czy potrafimy zbliżyć cele obiektywne do subiektywnych? Czy młodzież uzna cele szkoły za swoje choćby częściowo?

Pamiętajmy również o tym, że odpowiedzialni za wychowanie młodzieży są nie tylko rodzice i szkoła. Ojciec i nauczyciel to dziś niewielkie atrakcje. A szczególnie nauczyciel zapóźniony w dziedzinie wiedzy, nieaktowny. Minęły czasy „Siłaczki”. Dziś znamy dużo więcej środków komunikatywnych i atrakcyjniejszych niż nauczyciel i elementarz. Rola nauczyciela sprowadza się do nauczania pewnego alfabetu, do wyuczenia pewnego szyfru, przy pomocy którego uczeń zacznie zdobywać wiedzę.

Symboliczny „kaganek oświaty” mocno przybladł. Pojawili się konkurenci. Jeśli nauczanie i wychowanie widzimy tradycyjnie, to za służą powiększenia się, pomniejszenia się pull „młodzieży nieuczesanej” należy do wszystkich kaganów, do wszystkich światełników.

To nie tylko ojciec i matka, nie tylko szkoła i nauczyciel. To my wszyscy odpowiedzialni za Murkę i Romana, bohaterów smutnych reportaży zamieszczonych w „Odgłosach”.

STANISŁAW LIPKO

Nasza szkoła

Nasze miasto kupiło sobie trąbkę, ale na razie nie ma samochodu. Osobliwość tego wydarzenia jest fakt, iż cena tej trąbki jest wyższa od ceny samochodu. Ścisłej — samochodu akurat nie można kupić.

Czy wynika stąd wniosek, że nie trzeba było kupować trąbki? Niekoniecznie. Trzeba tylko było podejmując kupno trąbki już wtedy zastanowić się, gdzie ją przypięć.

Deja alegoria dotyczy sprawy Teatru Narodowego.

Czytaliśmy wszyscy w gazetach, że komisja kultury głowi się, komu oddać w pacht budynek Teatru Narodowego. Kandydatów jest dwóch: Opera i zespół Teatru Nowego. Ani jeden jednak ani drugi z ubiegających się o przydział tego 1400-osobowego pokoju z kuchnią artystyczną nie rokuje nadziei, iż na stałe zapewni ogromną widownię. Wobec groźby, iż miejsca w teatrze będą nie wykorzystane, co zwiększy koszty utrzymania gmachu i podniesie „zaplanowany deficyt”, padły i takie sugestie, aby Teatr Narodowy zmieniał lokatorów. To znaczy: żeby raz grała tu Opera, raz teatr Dejma, kiedy indziej znów inne teatry lub zgola trupy prezentujące rewiewo-estradowe składanki.

Krótko mówiąc — nie miała baba kłopotu... Ponieważ Teatr Nowy ma swoją niezłą i stałą salę, a Opera dopiero zabkuje, Teatr Narodowy de facto stać się może czymś w rodzaju warszawskiej Sali Kongresowej: dziś Kotowska z Ciukszą na mandolinie, jutro Tino Rossi, pojutrze 10 importowanych Murzynek z jakiegoś brazylijskiego Radomia — co popadnie.

Jak wiadomo, estradowa chałtura jest rzeczą cieszącą się powodzeniem, dochodową, a więc godną posiadania reprezentacyjnego przybytku. Dla jej potrzeb trzeba było nam wszakże wystawić salę widowiskową, a nie teatralną. Różnica polega na tym, że ta pierwsza miała zazwyczaj większą widownię, a mniej doskonałe zaplecze sceniczne, bez skomplikowanej maszyneryi, obrotówki, zapadni, magazynów, pracowni dekoratorskich itd. Jednym słowem — taniej i rentowniej.

Są to oczywiście żale zupełnie próżne, poza tym wygłaszam je bez przekonania. Próżne i demagogiczne, ponieważ plany teatru rodziły się w czasach, kiedy nie zwracano jeszcze uwagi, na to, kto co lubi oglądać i ilu chętnych się znajdzie. Zasiłki długotrwałości budowy bije wszelkie średniowieczne rekordy w tym względzie.

Toteż, w związku z brakiem przekonania o pełnej sensowności mojego wywodu, zmuszony jestem do natychmiastowego podjęcia ze sobą polemiki.

Wywód powyższy dotyczy sytuacji istniejącej w chwili

obecnej. Takie zaś gmaszysko jak Teatr Narodowy obliczone jest na sto przynajmniej lat istnienia. Czyżby więc należało tak długowieczną kolubrynę przystosowywać do aktualnie panujących gustów „estetycznych”? A może za lat 10, 20, 50 nasze dzieci (wnuki, prawnuki) będą wołały Romea i Julię od Ciukchy i Kotowskiej z Ramiganim włącznie? Kto tedy wie, czy łódzka trąbka nie ma czasem przed sobą przyszłość? Oczywiście tego nikt nie wie i dlatego sprawa Teatru Narodowego nie nadaje się do zakwalifikowania jej jako dramat narodowy.

GŁOSNO MYŚLĘ

Nie wiem, czy wielu P. T. Czytelników wysłuchało uczony dysputy radiowej, w której badał po raz pierwszy padło sformułowanie o kryzysie widzów w polskich teatrach. O postępującym spadku frekwencji.

Pozytywnym wnioskiem tej debaty był postulat, czy też raczej błaganie o polskie sztuki współczesne. Modły te same w sobie są sensowne, ale akurat — jako lekarstwo na pustoszenie widowni — „ni pri czom”. Jak bowiem wiadomo, jedyny repertuar, który ściągą „masowego widza” to z jednej strony stare komedie — od hr. Fredry



poprzez Baluckiego do Zajączkowskiej, z drugiej zaś — „narodowe dramaty” romantyczne, kolubryny Słowackiego i temu podobne. Widz robotniczo-urzędniczy, widz tzw. „masowy” w dziedzinie widowiska pozateatralnego ukochał tzw. masowe imprezy estradowe, beztreściowe składanki, zgaduj-zgadule i wszelkie gatunki tego pochochodne. Powiada się na to, że nie od razu Kraków zbudowano i liczy hutników kochających Skuszanek i włókienników milujących Dejmkę.

Oczywiście proces, który analizuje ta arytmetyka, rzeczywiście zachodzi. I rzecz jasna, nie może on odbywać się przedko. Z racji sprawy tego tempa wszakże można się zastanowić, czy przedję „masowy widz” wejdzie lawą do teatru — też przedję sam teatr obumrze w tęsknym nań wyczekiwaniu. Szczególnie, że coraz bardziej rozkładać go będzie telewizyjny konkurent.

Istnieje bowiem również proces odwrotny: tradycjo-

nalny widz teatralny coraz rzadziej chodzi do teatru, coraz mniej znajduje rzeczy odpowiadające jego zainteresowaniom i gustom, by nie powiedzieć — odkryć formalno-artystycznych i intelektualnych. Mniemam tedy, że bardziej można mówić aktualnie o zaczątkach kryzysu instytucji teatru, niż o „kryzysie widza”.

Nie znam więc na sprawach teatralnych i nie będę podejmował prób teoretycznych rozważań ani też przepisywał cudzych na ten temat przemyśleń. Mniemam tylko, że hr. Fredro i Słowacki muszą się za rok, dwa przejeść i że stanie się to gwałtownie a nie stopniowo. Z drugiej zaś strony, że przez ten czas „widz masowy” nie „dojrzeje” do scen awangardowych i nowoczesnego repertuaru, który to notabene reprezentuje sobą — moim zdaniem — diablo niewiele. Jest strawniejszy w konsumpcji — bo skrótowny, ale nie przynoszący ani dreszczy artystycznego przeżywania, ani nie walący w łeb intelektualnymi rewelacjami.

Wynika więc z tego wżyskiego, że może, że kto wie, czy nie warto byłoby wyciągnąć jakichś wniosków z masowej miłości ku estradowym, tandetnym składankom. I próbować w tej konwencji scenicznej tworzyć nowy teatr, od razu biorący na kiel „masowego widza”. Nie mam tu na myśli nawiązywania do Meyerholdów i widowisk teatru rewolucyjnego romantyzmu z radzieckiego dwudziestolecia. Ale np. kiedyś oglądając warszawską „Operę za 3 grosze” myślałem sobie, że gdyby ten zbiór piosenek-skich szlagierów wystawić w masowej hali, reklamując, że to nie Brecht, nie teatr, tylko „Express swoim Czytelnikom”, że Kallina Jedrusik to tylko tak, dlatego, że Ciuksha zachorował. Kto wie, czy naza jutrz w Łodzi wszystkie podłogi nie nuciłyby brechtowskich songów?

Oczywiście, nie więcej na ten temat nie potrafię powiedzieć. Gdybym wiedział jak się robi teatr, nie musiałbym pisywać felietonów w „Odgłosach”, tylko zająłbym się pracą uczciwą i dochodową.

Powiadam tylko, że ludzi zawsze można oszukać, np. zabrać im Kotowską a podstawić sztukę i że nie masz takiej narodowej miłości, której by grono zręcznych ludzi nie potrafiło wykorzystać. Nawet dla dobrej sprawy.

No i że skoro już jest trąbka warto zakrzęknąć się koło samochodu. Są 3 lata czasu.

BELFER



JACEK LEBEN

TOUR de FRANCE CHRUSZCZOWA ZAKOŃCZONY

Przyjęła się ta nazwa „Tour de France” w związku z wielką podróżą Chruszczowa po Francji. Efektowna, nawiązująca do wielkich wyścigów kolarskich, nie uwilacza ona chy-

ba historycznemu znaczeniu wizyty premiera Chruszczowa w wielkim i pięknym kraju nad Sekwaną.

Po 9-dniowej podróży, podczas której premier Chruszczow zwiedzał zabyt-

ki Francji wczorajszej i zapoznał się z osiągnięciami Francji dzisiejszej; po nieustannym napięciu, jakie wytworzył musi wielogodzinne obcowanie z setkami tysięcy ludzi na trasie, premier Chruszczow znalazł się wraz ze swym rozmówcą, prezydentem de Gaulle'm w oderwanym od świata starym zamku, Rambouillet. Niemniej jednak i w cisze starego zamku, wdary się niewątpliwie odgłosy serdecznego powitania, jakie społeczeństwo francuskie zgłotowało radzieckiemu gościowi. Korrespondent DPA stwierdził na przykład: „Pewne jest, że

radziecki szef rządu słuchający przez część swych oficjalnych gospodarzy, a może także przez część niekomunistycznej ludności chętniej, niż się tego spodziewano”. „Liberation” nadmienila, że „sympatia okazana Chruszczowowi podczas jego Tour de France stwarza lepszy klimat dla jego rozmów w cztery oczy z de Gaulle'm”. „Humanite” zaś oświadczyła: „Rozmowy w Rambouillet nie będą dokładnie takie same, jakie byłyby bez triumfalnej podróży Chruszczowa, stojącej pod znakiem przyjaźni francusko-

(Dokończenie na str. 4)



Legendarne głębiny potwory, najpotężniejsze, pancerne dreadnoughty nie budziły nigdy w sercach mieszkańców nadmorskich osiedli grozy tak przeraźliwej. Gdziekolwiek — niby apokaliptyczna bestia — pojawiał się u brzegów ów stary, niepozorny frachtowiec, ludność rzucała się uciekając w popłochu. Kapitanaty portów kategorycznie odmawiały zezwolenia na wjazd.

Na falach Bałtyku kołysze się statek — widmo. Jeszcze dzisiaj, w końcu marca 1960 roku, w piętnaście lat po wojnie, nad Europą Północną, nad nami wszystkimi, nad całą ludzkością wisi koszmar zagłady.

Zakotwiczony na zbroczu Kieler Bucht, z dala od uczęszczanych szlaków komunikacyjnych „August Peeters”, wycofany ze służby frachtowiec czeka na ostatni rejs: ma wypłynąć na pełny ocean i tam spocząć na dnie. Zniecierpliwieni, przerażeni mieszkańcy nie-szczęsnego Heikendorf — miejsciny, która przypadek naraził na upiorne sąsiedztwo — umierając ze strachu, nie śpiąc po nocach, czekają również: kiedy nareszcie odpłynie. Tylko załoga śpi spokojnie. Oni mają czas. Płacą im za to.

Osiemnastu strażników szwenda się bezczynnie po pokładzie. Dwumetrowe draby, obszarpane, wytatuowane i bezcelne, kubek w kubek podobne do szajki Jacka Kuternogi — pamiętacie chyba Wyspę Skarbów — używają w błogim lenistwie. Starego grata, na który ich zwerbowało, nie warto nawet oporządzać. Zasnęło pudło, które i tak wkrótce szlag trafi.

Co prawda zawód „desperados” nie jest specjalnie intratny. Marynarze otrzyskują dodatkowo trzy marki za godzinę. Taka jest w Republice Federalnej cena strachu. Ale i na ten ochłap nie brak chętnych w kraju „cudu gospodarczego”.

By ulagodzić wzburzoną opinię publiczną, władze zorganizowały na pokładzie statku konferencję prasową. Na wizję lokalną stawili się gromada reporterów z różnych stron świata.

Ponury, mglisty dzień mrocowy, atramentowe fale i olwiane chmury, żalosne pokrzyki mew, kadłub statku przeżarty rdzą, splamiony liszajami odpryskującej farby, pokład brudny, wilgotny i śliski od smarów, smród zjełczanego tłuszczu, obłeśne gęby załogi — nie można było wymarzyć stosowniejszej scenerii.

Otwarto jeden z luków. O pięć metrów poniżej w czeluściach ładowni, w mętnym świetle zarysowały się kłody betonu, ciężkie, szare, niezdarne. Zapalony w kacie reflektor oświetlił jaskrawo kilka masywnych bloków.

— Proszę posłuchać — rzekł uśmiechając się kapitan.

W głębi, zbudzony blaskiem, zaśpiewał kanarek.

— To nasza maskotka i sygnał alarmowy. Póki żyje i śpiewa nie ma niebezpieczeństwa. Małe ptaszki są szczególnie wrażliwe na gazy trujące.

Gazy trujące — oto niebagatelny ładunek, który przekształcił obskurną łajbę w postrach Bałtyku.

W jednym z podziemnych składów amunicji hitlerowskiego Wehrmachtu w prowincji Schleswig Holstein oddziały wojsk okupacyjnych znalazły zaraz po wojnie dwadzieścia osiem tysięcy granatów artyleryjskich napełnionych płynnym tabunem. Każdy z pocisków zawierał około półtora litra sżęzonego gazu. Po wybuchu gaz miał rozpylić się w obłok, który rozprzestrzeniłby się następnie z niezwykłą szybkością.

ŚMIERCI

Statek



Tabun jest gazem bojowym o własnościach zaiste piekielnych. By umrzeć wcale nie trzeba go wdychać. Jedna kropelka — doza 0,007 grama — zabija człowieka przy prostym zetknięciu ze skórą. Następuje natychmiastowe sparaliżowanie ośrodków nerwowych. Tak więc starczyłoby części tylko znalezionych zapasów, by wymordować całą ludzkość.

Zakłopotane śmiertelnością lupem władze okupacyjne poleciły zatopić wszystko w wodach Bałtyku. I odetchnęły w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku. Ale pewnego dnia miły nastrój przysnął.

W lecie 1958 roku nurkowie stwierdzili, że nie-które pociski podległy za-

awansowanej korozji. Woda morska wyżarła w metalu głębokie szczyrby. Należało działać bez chwili zwłoki. Gdyby gaz wydostał się na powierzchnię Bałtyku, ludność okolicznych krajów zginełaby w mgnieniu oka. Miła perspektywa, prawda, przyjemni sąsiedzi. Ale ty, humanisto, siedź cicho (na beczce z prochem), nie sięj metafizycznych niepokojów i ciesz się z postępu techniki.

Rząd Niemiec Zachodnich odpowiedzialny za likwidację skutków wojny, a jeszcze bardziej zastraszonej konsekwencjami, przystąpił do akcji. Każdy z granatów otoczono grubą powłoką ze specjalnego betonu, odpornego na wodę morską i wytrzymałego na wstrząsy.

Następnie załadowano to wszystko na statek i postanowiono zatopić w jednej z głębokich szczyłin Atlantyku.

Choć długo to trwało, pierwszą część operacji przeprowadzono sprawnie. Nie obyło się wprawdzie bez małego incydentu — jeden z bloków runął na głąb na dno ładowni, ale wybuch nie nastąpił. Beton okazał się doskonały, wytrzymały. Uczeń niemiecki stanął na wysokości zadania.

Teraz jednak zaczęły się kłopoty. Dziennikarze wywęszyli sensację i wybuchła panika. Ludność gęsto zaludnionej, uprzemysłowionej dzielnicy Schleswig Holstein zaprotestowała przeciw holowaniu „zadzu-

mięnego” statku przez Kanał Kiloński. Władze duńskie odmówiły zezwolenia na przepłynięcie przez cieśninę Sund i Belt. A Bałtyk jest przecież morzem zamkniętym.

Mijały miesiące. „August Peeters” rdzewiał na kotwicy.

Wreszcie rząd niemiecki zdecydował. Ewakuuje się część ludności z okolic kanału Kilońskiego, zakazuje nawigacji dla wszelkich innych jednostek, dopóki „statek śmierci” nie wypłynie tedy na pełne morze. W miejscu wyznaczonym przez oceanografów i meteorologów, w otchłani Atlantyku zatona złowrogie bloki.

Jeszcze tylko trzeba po- czekać na stosowną pogodę. Opracował: K. J.

Szanowny Panie Redaktorze!

Nie zabierałbym Panu cennego czasu, gdyby nie to, że obawiam się, iż ujdzie Pana uwadze niezwykle symptomatyczne zjawisko, które ostatnio zaobserwowałem w prasie. Czy czyta Pan ogłoszenia z rubryki „Różne”? Tam można czasem znaleźć: „Za długi p. X nie odpowiadam”, „Wzywam p. Y do cofnięcia kalumni na mnie rzuconych”, „Wzywam p. Z do oddania mi 300 złotych, które mi pożyczyłem”. Ostatnio jednak apele takie umieszcza się nie w drobnych ogłoszeniach, a w większych felietonach. W felietonach tego typu celuje pewien znany i ódzki pisarz, którego nazwiska tu nie wymienię ponieważ i on nie ma zwyczaju wymieniania nazwisk swoich polemistów. Pisarz ten odświeża wstrząśniętym Czytelnikom swoje osobiste perypetie. Ostatnio dowiedziałem się na przykład, że pożyczył innemu utalentowanemu młodemu pisarzowi pieniądze i ten mu (ach, ty łobuzie!) nie oddał, innemu cenną książkę i ten mu też nie oddał, z innymi zaś umawiał się na spotkania, a ci albo się spóźniali, albo w ogóle (sic!) nie przychodzili.

W całej tej sprawie nie byłoby jeszcze nic szczególnego — felieton wydrukowano, czytelnicy się wzburzyli, może nawet skutek będzie — gdyby nie to, że pisarzowi w pewnym momencie zaczyna grozić poważne niebezpieczeństwo. Niebezpieczeństwo polega na iście karkołomnych uogólnieniach, dla których za podstawę pisarz przyjmuje wspomniane wyżej jednostkowe bądź co bądź zdania. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że pisarz widzi fałszywość swoich uogólnień, wprowadza je jednak ponieważ chce pisać felietony, a nie ogłoszenia drobne.

Jeszcze jedno Panie Redaktorze. Pisarz, o którym mowa wyżej polemizuje. Czyni to odsyłając swego przeciwnika do szkółki po naukę odczytywania cudzych tekstów. Sposób znakomity bo: nie męczy się, a swoją drogą przeciwnik jest absolutnie załatwiony. Przypomina również stary, ale dobry chwyt polemiczny polegający na kpinach z nazwiska adwersarza. Otwierają się przed nami, Panie Redaktorze, olbrzymie pola do napelnienia dobrymi pomysłami. O Nieśmiałku będzie można mówić, że nie śmiał, o Czarnym, że czarny, o Papierze, że biały jak papier, Wawrzkiewicza nazwać Wawrzkiem. Najprzedszymsze kalambury jakie znam! Kończąc wstrząsany konwulsyjnym śmiechem.

MAREK WAWRZKIEWICZ

P. S. Niech się Pan nie obrazi Redaktorze, że list adresowany do Pana zadedykuje z wdzięczności za lekcje wytwornej publicystyki Janowi Koprowskiemu.

Kulisy wielkiego spisku

Niedawno paryska „Kultura” zamieściła obszerną relację Sępa-Szarzyńskiego poświęconą dziejom junta oficerskiego w wojsku polskim na Zachodzie i ich podstępnej działalności w walce z gen. Sikorskim. Relacja zawiera tak wiele pasjonującego materiału informacyjnego, że omówienie jej, zwłaszcza w zestawieniu z inną literaturą emigracyjną, jest nader interesujące.

W Rumunii, gdzie pod koniec 1939 r. kapitan lotnictwa, Niewiarowski założył tajną mafijną organizację — „Łańcuszek Dobrych Przyjaciół”. Członkowie „Łańcuszka” — organizacji bardzo podobnej do powstałego wówczas w kraju, spośród aktywistów ONR, „Związku Jaszczurczego” — ewakuowali się później do Francji. Tu Niewiarowski objął stanowisko szefa referatu kontrwywiadu w lotnictwie, a „Łańcuszek” rozrastał się tworząc kilkadziesiąt kół wśród oficerów polskiego lotnictwa i marynarki wojennej.

Okres szczególnej prosperity zaczyna przeżywać organizacja w Anglii. Wiąże się to z francuską klęską generała Sikorskiego. Spiskowcy uzyskują możliwych protektorów w osobach gen. Sosnkowskiego i prezydenta Raczkiewicza. Niewiarowski macza palce w tzw. puczu generała Dąb-Biernackiego, który usiłował obalić Sikorskiego i objąć jego stanowisko.

Warto przy tej okazji zauważyć, że gdy polscy lotnicy i marynarze toczyli bohaterski bój z Niemcami, członkowie „Łańcuszka” „zadekowali” się w bezpiecznych szkockich garnizonach. Tu głosili pochwałę faszyzmu, stał „pielgrzymował” do hiszpańskiej frankistowskiej ambasady w Londynie i urządzali w Edynburgu niespotykane nigdy przedtem w Anglii antysemickie burdy. Kontrwywiad angielski niespodziewanie na początku 1941 r. aresztował paru oficerów polskiego pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Niemiec,

trzymając zresztą całą sprawę w tajemnicy.

W lipcu i grudniu 1941 r. generał Sikorski nawiera umowy z rządem radzieckim dając tym dowód wielkiego realizmu politycznego. Powstaje Armia Polska w ZSRR.

Równocześnie na Sikorskiego rzuca się cała emigracyjna reakcja. „Łańcuszek” aktywizuje swoją działalność. Wspólnie z Komitetem Doboszyńskiego zaczyna na początku 1942 r. wydawać tajne pismo „Walka”. Sekunduje mu cywilny organ ONR-owski „Jestem Polakiem”, redagowany przez Jerzego Pancewicza. Wkrótce angielskie władze bezpieczeństwa za kontakty z Abwehrą likwidują to drugie pismo. „Walka” wychodzi nadal. Kolportują ją spiskowcy przy pomocy wojskowych samolotów. „Walka” nawołuje Raczkiewicza do dania dymisji Sikorskiemu i wysuwania koncepcję zlikwidowania generała drogą zamachu.

Sępa-Szarzyński podaje nazwiska przywódców spisku. Oprócz niego i Niewiarowskiego są to m.in. mjr Późniak, ppor. Tomczyk, kpt. Bujalski, oraz przybyły z kraju w początkach 1942 r. jako łącznik pchor. Lechnicki. Ten ostatni reprezentuje „Związek Jaszczurczy”, który na przełomie 1942/43 przekształcił się w Narodowe Siły Zbrojne, oślawiony NSZ.

Jest bardzo charakterystyczne, że londyński II Oddział nie wiedział o „Łańcuszku”. Nawet gdy spiskowcy przygotowywali bunt w lotnictwie i gdy wykradali z Ministerstwa Informacji wiadomości „o charakterze mniej lub więcej tajnym” — jak pisał Szarzyński, „dwójka” za-

chowywała niezmacony „spokój”. Tak silna była nienawiść do Sikorskiego ze strony kierujących II Oddziałem senatorów którzy w Doboszyńskim w dzieli „zalety dyktatora”. Szczególnego smaku całej tej aferze daje przytoczone przez Szarzyńskiego, informacje że z „Łańcuszkiem” współpracowały znajdujące się w Anglii córki Józefa Piłsudskiego.

Wczesną wiosną 1943 r. niektórym działaczom „Łańcuszka” podwinęła się noga. Za zbyt jawny kolportaż „Walki” kilku oficerów lotnictwa, a w tej liczbie Sępa-Szarzyński, zostało osadzonych w miejscu odosobnienia na wyspie Bute. Na drogę otrzymali błogosławieństwo i... wódkę od generała Sosnkowskiego, a na wyspie... pisanki od córki Piłsudskiego. Z wygnania powrócili zaraz po gibraltarskiej katastrofie i objęli wysokie stanowiska

w gabinecie Naczelnego Wodza

Jaki więc był udział „Łańcuszka” w spowodowaniu katastrofy gibraltarskiej? Szereg danych na ten temat przytoczył w książce „Wbrew rozkazowi” St. Strumph-Wojtkiewicz i nie ma sensu ich tu powtarzać. Warto natomiast przytoczyć pewną nader wymowną — przejrzyście aluzującą informację z relacji Szarzyńskiego.

Pisze on, że w nocy poprzedzającej śmierć Sikorskiego śniło mu się, iż generał nie żyje. Na drugi dzień około godziny 8.00 zajął doń prokurator, który przeprowadzał dochodzenie w sprawie kolportowania „Walki” i zawiadomił go, że przyjdzie po śniadaniu. „Niedługo wrócił, był wyraźnie blady, powiedział głosem jakby zdarzył się jakiś wypadek. W tej chwili gramofonowej: Generał Sikorski nie żyje”. Już w XVIII wieku prze-

stano wierzyć w cudowne sny i umiejętność przewidywania przyszłości. Sępa-Szarzyński po prostu dobrze wiedział co i kiedy jego przyjaciele z „Łańcuszka” mają zamiar zrobić w samolocie wiozącym generała Sikorskiego. Przecież, jak sam pisze, spiskowcy mieli do dyspozycji środki łączności II Oddziału. I dlatego w tę poprzedzającą katastrofę gibraltarską noc myślał tyle „o Sikorskim i o sprawie”.

Relacja Sępa-Szarzyńskiego, który ze spokojem pisze, że mówiono o nim iż „służył niemieckiej dywersji” — to bardzo istotny przyczynek do dziejów katastrofy gibraltarskiej, a zarazem pierwsza większa informacja o działalności faszystowskich spisków oficerskich w wojsku polskim na Zachodzie. Spisków, które ślepa nienawiść do postępu doprowadziła na drogę narodowej zdrady.



Generał Sikorski wśród żołnierzy

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

Z perspektywy lat trzydziestych

Helena Boguszewska i towarzyszyła podówczas do dru Jerzy Kornacki — to znana jeszcze z lat przedwojennych spółka autorska, która ma w swym dorobku wiele pozycji literackich. Niezależnie od książek napisanych wspólnie, każdy z uczestników tej spółki ma również na swym koncie osobistym niemało opublikowanych utworów.

Boguszewska i Kornacki byli inicjatorami i założycielami powstałego w r. 1933 literackiego Zespołu „Przedmieście”, do którego przystąpili: Zofia Nałkowska, Bruno Schulz, Gustaw Morcinek, Władysław Kowalski, Halina Kracholska i szereg młodych pisarzy z obozu lewicy społecznej. Jako jedno ze swych głównych zadań Zespół „Przedmieście” uważał „skierowanie refleksji uwagi i talentu na elementy życia proletariackiego w Polsce”. W deklaracji programowej Zespołu, umieszczonej na wstępie zbiorowego tomu opowiadań pt. „Przedmieście” (1934) czytamy m. in. „Nasze założenia metodologiczne odróżniają nas dość jasnowo od literatury mieszczańskiej (...). Dzieli nas zwłaszcza to, że do Zespołu należeć mogą tylko ludzie, poczuwający się psychicznie do czynnego zaangażowania po stronie człowieka prac w jego wieloletniej walce o prawo do życia, o zmianę ustroju gospodarczego i społecznego”.

Przed paru laty Zespół został reaktywowany. Oczywiście, szybko płynący czas i przemiany z jego biegiem związane musiały wpłynąć i na skład personalny Zespołu i na kierunki jego zbiorowego działania. W każdym bądź razie fundatorzy Zespołu — Boguszewska i Kornacki — i obecnie stanowią w nim siłę motoryczną, dochowując wierności pięknym założeniom pierwotnym.

Wszystko to warto przypomnieć przystępując do edytowania najnowszej książki Boguszewskiej i Kornackiego — „Zielone lato 1934” (*). Jest to rodzaj pamiętnika pisanego przed 25 laty wspólnie przez tę parę autorską. Początkowo pamiętnik omawia przebieg sprawy warsztatowej, spółka bowiem przygo-

* Helena Boguszewska — Jerzy Kornacki: „Zielone lato 1934” — Warszawa, „Książka i Wiedza”, 1959, str. 260, cena 20 zł.

DOM
KSIĄŻKI
DOM

Tour de France Chruszczowa zakończony

(Dokończenie ze str. 2)

radzieckiej. Chociaż generał de Gaulle najczęściej radzi się tylko sam siebie, to trudno sobie wyobrazić, by mógł zignorować te okrzyki „Niech żyje pokój” wznieszone przez setki tysięcy Francuzów i by mógł zignorować tak powszechne zrozumienie intencji ZSRR”.

Komunikat końcowy dwudniowych tajnych rozmów Chruszczowa — de Gaulle nie daje oczywiście odpowiedzi na wszystkie pytania budzące zaciekawienie światowej opinii publicznej. Jak każdy komunikat dyplomatyczny zawiera on ogólne stwierdzenia zamknięte w gładkich sformułowaniach. Niemniej jednak wnikliwa analiza tego dokumentu pozwala na wyliczanie szeregu wniosków. Mówi się na przykład jasno w komunikacie o tym, że stosunki między ZSRR i Francją winny się kształtować „w duchu przyjaźni i współpracy” i „lepszego zrozumienia wzajemnego”. To stwierdzenie stanowi wyraźne przedłużenie „ducha Camp Davida”, który zrodził się przed pół rokiem w czasie dwustronnych rozmów Chruszczowa — Eisenhowera.

Poza określeniem tych ogólnych zasad komunikat precyzuje stanowiska stron wobec dwóch podstawowych problemów dzisiejszej doby: rozbrojenia i Niemiec. Nawołując do genewskich obrad Komitetu Dziesięciu nawołuje do „opracowania uzgodnionych punktów widzenia na spra-

wę powszechnego i całkowitego rozbrojenia pod skuteczną kontrolą międzynarodową”.

W sprawie Niemiec komunikat podkreśla, że „przewodniczący Rady Ministrów ZSRR i prezydent Republiki Francuskiej poświęcili uwagę możliwościom rozstrzygnięcia problemów dotyczących Niemiec z traktatem pokojowym z Niemcami oraz kwestią Berlina łącznie...”

Chruszczow i de Gaulle uznali, że stopniowe uregulowanie tych problemów na uzgodnionej podstawie w drodze rokowań miałyby doniosłe znaczenie dla utrzymania i umocnienia pokoju oraz bezpieczeństwa w Europie i na całym świecie.

Sformułowanie to jest niezmiernie ciekawe. Wiadomo przecież, że rząd Niemieckiej Republiki Federalnej kategorycznie odrzuca wszelką możliwość podjęcia rokowań na temat traktatu pokojowego z Niemcami przed zjednoczeniem.

W komunikacie francusko-radzieckim o zjednoczeniu nawet się nie wspomina. Znamienne jest również, że zakłada się możliwość uregulowania problemu berlińskiego. Wiadomo natomiast, że Adenauer robi wszystko, co w jego mocy, by nie dopuścić do jakiegokolwiek rozmów na temat rozwiązania problemu berlińskiego.

Ciszę rozmów w Rambouillet przerwała druga eksplozja atomowa w Reggane,

Premier Chruszczow ze swoją szczerością wyraził ubolewanie, że Francja mimo moratorium atomowego trzech wielkich mocarstw dokonuje pierwszych prób swej broni. Jednocześnie jednak premier Chruszczow wyraził nadzieję, że w Genewie zostanie osiągnięte porozumienie i że Francja się do niego przyłączy. Prasa zachodnia stwierdza niemal jednomyślnie, że wypowiedź premiera Chruszczowa była bardzo spokojna.

Warto przypomnieć, że 25 marca w tymże dniu po bytu we Francji premier Chruszczow powiedział korespondentom dyplomatycznym: „Gotowi jesteśmy wspólnie z Francją, Anglią i Ameryką rozpatrywać i rozwiązywać wszystkie problemy związane z bronią atomową i jądrową w interesie pokoju, w interesie wszystkich narodów”. Rząd francuski niewątpliwie należałby ocenić tę doniosłą wypowiedź.

Wydało się, że bezkompromisowe uznawanie przez Związek Radziecki mocarstwowej roli Francji stwarza dobrą atmosferę do

zbliżenia obu tych państw. Oświadczenia szefa rządu radzieckiego muszą być mile narodowi francuskiemu i prezydentowi de Gaulle'owi, a chyba nie bardzo mile rządowi Stanów Zjednoczonych. Przed przyjazdem premiera Chruszczowa do Paryża radziecki tygodnik „Nowe Czasy” przypominał w artykule wstępnym: „Nie należymy do tych, którzy po ciężkich doświadczeniach, jakie przeszła Francja w latach II wojny światowej skwapliwie podjęli się roli grabarzy Francji jako wielkiego mocarstwa. Uznajemy wielką rolę, jaką odgrywa Francja w losach Europy i całego świata”.

Rozmowy Chruszczow — de Gaulle zakończyły serię bezpośrednich spotkań między premierem Chruszczowem a przywódcami Zachodu przed „konferencją na szczycie”. Za kilka tygodni w Paryżu, który premier Chruszczow opuścił przed czterema dniami, rozpocznie się konferencja szefów rządów wielkich mocarstw.

JACEK LEBEN

- Gdy mamusia szuka rozkoszy życia
- Opowiadanie z dreszczykiem
- O procesach poszlakowych — felieton Dióra Wandy Falkowskiej
- Niezwykłe atrakcyjny konkurs
- Dalszy ciąg dyskusji o młodości i inne ciekawe materiały przyniesie wielkonośny numer „ODGŁOSÓW”

CZY proces

Napisal: TADEUSZ ŻAKOWIECKI

Zdjęcia: H. KOZAKOW

przeciwko wsi?



Stobiecko otoczone jest złym mitem...

Nie tak dawno, prasa łódzka pisała:

„W Radomszczańskim jest najwięcej przestępstw spośród wszystkich powiatów w naszym województwie. Jeden z najwyższych wskaźników przestępczości w Polsce. W samym Stobiecku ilość przestępstw jest zaskakująca. Użycie noża w czasie zabawy jest rzeczą zupełnie codzienną. Milicja i prokuratura wkraczają w radomszczańskie miejscowości bardzo często, ale czy nie warto byłoby, by wkroczyli tam w większym stopniu niż teraz — ludzie, którzy będą wychowywać? Jest to chyba jakimś problemem społecznym, którym trzeba się jak najgłębiej zainteresować”.

„Gdy przed kilkoma tygodniami na rozprawę sądową prowadzono 28-letniego Jana Szymczaka, który w Stobiecku zabił siekierą swoją szwagierkę — tłum ludzi próbował dokonać samosądu. Podczas rozprawy sądowej stwierdzono, że wszyscy świadkowie pochodzący ze Stobiecka — byli już co najmniej raz aresztowani...”

Tak poszła w świat wiadomość, że powiat radomszczański jest najbardziej „zbrodniczy” — a w powiecie tym wieś Stobiecko, to twierdzą „zbrodni”. Mieszkańcom Stobiecka wypominano nawet i ich tatarskie pochodzenie — pono osadził ich tam sam Król Jan III Sobieski. O Stobiecku mówi się w Łodzi tak jak w Kutnie opowiadają o łódzkich Bałutach. Jest w tym może i tyleż samo prawdy?

Mieszkańcy Stobiecka są potomkami Tatarów. Pytam, czy ten fakt ciąży może w jakiś sposób na obyczajowości dzisiejszych mieszkańców Stobiecka?

Jeden powiada: — „Jeszcze przed wojną, to trzymali się więcej w kupie, w klanach rodzinnych; niechby tylko ktoś spróbował wtedy pojechać tam do dzieł...”

Inny dodaje: — „Zagony zaorują w półkiszycę...”

Nie udało mi się stwierdzić czy istotnie zagony zaorane są w półkiszycę — to da się sprawdzić latem. Co do trzymania się „w kupie” — to zjawisko nie wyglądało inaczej niż gdzie indziej na tradycyjnej polskiej wsi. O ile się orientuję problem małżeństwa na wsi uważano najczęściej za sprawę „wewnętrzna”, a sąsiada traktowano szlachetką jako intruza.

Ogromny procent dorosłych mieszkańców Stobiecka pracuje w odległym zaledwie o cztery, może pięć kilometrów Radomsku, a stąd — codzienne kontakty z ludźmi z innych wsi, z miasta.

Powiadam do sołtysa Miedzińskiego, że jestem z gazety — reportaż będę pisał.

Sołtys Miedziński długo milczy. „Małomówny” — myślę. Kiedy wreszcie przemówił — wyszło, że tak naprawdę, to on nie ma pewności, czy ja jestem z gazety,

Zdziwiony (dotychczas, poza prokuraturą, wierzone mi na słowo) wyjmując zaświadczenie, Sołtys podaje zaświadczanie żonie. Wypadałoby mi napisać „młodej żonie” — chociaż wspólnie mają coś ponad 100 lat — są ledwie kilka tygodni po ślubie.

Okazuje się — wszystko w porządku. Sołtys opowiada, jak to przyszedł kiedyś jeden, też taki młody, chciał żeby z nim iść ni stąd ni zowąd — do kwaterunku. Potem nauragał, chciał nawet bić. Prosi, żeby nie mleć za złe tego legitymowania. Jak tu nie być ostrożnym...

— Często tacy przychodzą? — zapytuje.
— E, właściwie, to mi się pierwszy raz coś takiego przydarzyło.

Teraz nie trzeba specjalnych zabiegów, by skierować rozmowę na sprawy istotne.

Zabawy odbywają się tutaj dość często, ale już dawno nie było na nich — co potwierdza milicja — awantur. Ostatnio, bodajże jeszcze jesienią, pobili się Adamek i Kowalski. To była porządna bijatyka: szpadle, powybijane okna, strzaskane ramy...

Sołtys Miedziński mówi, że oni, to znaczy Rada Gromadzka, starają się ostudzić zapalone głowy. Gdy niedawno zorganizowali zabawę „na cel Warszawy” — to nawet upić się nie pozwolili.

— Wystarczyło, że się komuś kurzyło z głowy, chociaż trochę, ani nawet kieliszka wódki nie chcieliśmy sprzedać.

Szkola podstawowa mieści się w dwóch leżących w pobliżu punktach, w zwykłych domach wiejskich. Do szkoły należy drewniana buda zaadaptowana na salę kinoteatralną. W niej odbywają się czasem projekcje kina objazdowego i zabawy.

Kiedy przed ośmioma laty młody nauczyciel z Piotrkowa usłyszał o awansie, czyli otrzymał propozycję objęcia stanowiska kierownika szkoły w Stobiecku — był przerażony. Ledwie skończył liceum pedagogiczne, a tu już kierownikiem! I to gdzie — w Stobiecku!

Młody nauczyciel bał się nie tyle odpowiedzialności, ile ułożenia stosunków z miejscowymi ludźmi. Przecież to Stobiecko!

O tej wsi dzisiejszy kierownik Pałyszka słyszał — jak ja i inni — wiele złego. Stobiecko nie od dziś otoczone jest złym mitem.

— Oczywiście, przesada — mówi pan Pałyszka — ludzie tu jak wszędzie, niepotrzebnie się bałem. Co więcej, nie przypuszczam, abym takich ludzi — a przynajmniej jeśli chodzi o pewną ich część — spotkał gdzieś indziej. Weźmy dla przykładu Komitet Rodzicielski...

Nie chodzi kierownikowi już o to, że Komitet uporał się z budynkiem gospodarczym szkoły. Ważna jest jego współpraca i poparcie na wszystkich frontach.

Kierownikowi trudno jest mówić o jakiejś szerszej pojętej pracy kulturalno-światowej wśród młodzieży szkolnej, a tym bardziej wśród dorosłych. Niewiele można zrobić, gdy brak lokalu; drewnianej budy, zimnej i ciemnej, nie można w żaden sposób traktować serio.

W tej chwili o budowie jakiegoś małego domu kultury (2000 ludności) nie ma mowy. W Stobiecku potrzebna jest w pierwszym rzędzie szkoła. A o tej inwestycji zaczęło się myśleć dopiero od niedawna.

Szkola powstanie kosztem społecznym: ludność opodatkowała się dobrowolnie i zobowiązała wybudować ją własnymi rękami.

W tej chwili są już pieniądze, materiały — można by właściwie zacząć. Można by, gdyby Powiatowa Rada zdecydowała się wreszcie na zatwierdzenie planu pod budowę...

Na razie ludność czeka, materiały budowlane czekają, a co najważniejsze — na szkołę czekają dzieci. Cóż jest — myślę — nie mają w Powiatowej Radzie

czasu, czy jak? Wykalkulowałem sobie, że przecież — gdy już szkoła będzie gotowa — ludzie ze Stobiecka pomyślą dalej na pewno o jakimś domu ludowym.

Kierownik szkoły, mimo braku lokalu, nie rezygnuje z pracy pozaszkolnej wśród młodzieży.

Kółko sportowe może się obyć bez pomieszczenia — powiada. — I w jego ramach zrobiłem wiele. Gorzej natomiast z zespołem mandolinistów i z chórem dziecięcym istniejącym przy jego boku. Z zespołu mandolinistów jesteśmy szczególnie dumni. Pięć lat pracy, częste występy na miejscu, w Radomsku...

Kierownik Pałyszka myśli o jakimś kółku dramatycznym. Ale tu nie wystarczy boisko szkolne, ani drewniana, zimna i ciemna buda.

Dotychczas sylwetki stobieczan rysowały mi się według schematu: zwykli ludzie, a wspólne ich kłopoty — takie jak wszędzie. Poznałem trochę historię (te ostatnią) ziemi radomszczańskiej. Doszedłem do wniosku, że mieszkańcy Stobiecka są jednak inni, a przynajmniej ich dyspozycje i możliwości nie są przeciętne: niebawoma przężność, niejednokrotnie ujawniana gotowość do czynu.

Może zresztą przesadzam? Może to tylko przypadek, że na terenie Stobiecka działała w dwudziestolecie komórka KPP, że w czasie wojny powstała tam jedna z pierwszych komórek PPR. Może przeceniam znaczenie zorganizowanej przez stobieczan akcji sabotażowej (chwila napadu Niemiec na Związek Radziecki), w wyniku której spłonął „Thonet Mundus” — znana fabryka mebli giętych w Radomsku?

Redaktor „Gazety Radom-

szczańskiej” zwraca uwagę, że na przykład w jednym tylko miesiącu — we wrześniu 1944 roku — zanotowano koło Radomska 24 poważne akcje partyzanckie. Jaki w tym udział stobieczan?

„Tkwili w nich, jak nigdy indziej kult bohaterstwa” — twierdził pewien mój rozmówca.

Kiedy na rozprawie przeciwko Janowi Szymczakowi sędzia pytał starego Zbroję — teścia Szymczaka — dlaczego wydał córkę za człowieka, o którym wiedział, że jest awanturnikiem — Zbroja miał podobno odpowiedzieć:

— „Moja córka chciała mieć takiego męża, którego się wszyscy boją”.

Komentarz autora (J. Leb.) cytowanego na wstępie artykułu informacyjnego jest typowo gazeciarski i właściwie trudno z nim polemizować. Cóż to ostatecznie znaczy: „czy nie warto byłoby, by wkroczyli tam w większym stopniu niż teraz — ludzie, którzy będą wychowywać?”

Wiadomo, że warto byłoby. W ogóle — do każdej wsi powinni w większym niż dotychczas stopniu „wkraczać” ludzie o wysokich kwalifikacjach pedagogicznych itp. Oczywiście, mamy w województwie oświecenia i wsie wymagające szczególniejszych względów.

Czy jednak Stobiecko do nich należy? Nie jestem zdecydowany zbyt pochopnie o tym rozstrzygać.

Natomiast chcę zaprotestować przeciwko podtrzymywaniu i kolportowaniu złych mitów. Tym bardziej, jeśli się to robi dla sensacji i wbrew prawdziwemu stanowi faktów. Przypisywanie win poszczególnych ludzi całej wsi — to przecież absurd!



DYSKUSJA MŁODZIEŻY

HALINA SZYMAŃSKA

Kurator Sądu dla Nieletnich

„Kurator” od łacińskiego „cura-ae” — znaczy troska. Rzadko kiedy dosłowne znaczenie słowa oddaje tak dobrze związany z nim sens, jak w tym przypadku. Kurator Sądu dla Nieletnich troszczy się o sprawy swych podopiecznych, jest dla nich przyjacielem. Niech mi wolno będzie właśnie od tego zacząć mą wypowiedź, zdradza to bowiem jej charakter i pozwala uprzedzić ewentualne pretensje pod moim adresem. Zaznaczam, że nie chcę tym stwierdzeniem bynajmniej sugerować pełnej fachowości czy autorytatywności w przedmiocie wychowania.

to jednak na plan pierwszy wybijają się czynniki wszędzie towarzyszące temu zjawisku.

Tzw. „złota młodzież” wyrasta przede wszystkim w środowiskach elitarnych, raczej dobrze sytuowanych. To, co nazywamy „egzystencjalizmem przy kawiarniach, stołkach, wegetacją z butelką wina, ucieczką w miłość, co na codzień wyraża się negacją wszelkiego wysiłku fizycznego i intelektualnego, to wszystko występowało także w dwudziestolecie międzywojennym i jeszcze wcześniej. Występowało tam, gdzie pozycja społeczna rodziców dosięgała szczytów, gdzie szacunek i uznanie ludzkie udzielano dzie

czy. Dziecko wie, jak powinno być wychowywane, na wychowanie czeka. Sym razem z ojcem wysłuchuje przez radio pogadanek na tematy pedagogiczne, ogląda filmy oświatowe mówiące o wychowaniu. Czasem nawet pięcioletni maluch dobrze orientuje się, że nie należy bić dzieci. Stare maksymy, które stanowiły fundamenty gmachu zwanego wychowaniem w rodzaju „młodszy usługuje starszemu” i „ojciec ma zawsze rację” trzeba oprać, zwłaszcza w okresie dorastania, na zasadach racjonalności.

Konsekwencje tego są bardzo głębokie. Autorytet ojca może ukształtować tylko rzeczywista i solidna wiedza o świecie. Tak pojęty autorytet ojca nie wyklucza możliwości ułożenia stosunków między nim i synem na platformie koleżeń-

muje się tym wiekiem podświadny Sąd dla Nieletnich. To chyba wystarczający powód, by postawić pod pręgierz tych wszystkich, którzy trwale wypaczają charakter, wywołują urazy i skrzywdzenia. Czas chyba pomyśleć o tym, by proces inicjacji — przenikania dziecka w świat osób dorosłych, był procesem kontrolowanym przez szeroką ingerencję w sprawę dziecka, rzeczywiste zainteresowanie jego losem — całego społeczeństwa. Trzeba już nareszcie stanowczo wyjść poza deklaracyjne stwierdzenia w tym przedmiocie.

Rodzice ponoszą odpowiedzialność za dziecko — a tymczasem — to chyba niezmierznie charakterystyczne, że kiedy przed sprawą w Sądzie dla Nieletnich sporządza się wywiad środowiskowy, który między innymi zawiera rubrykę na temat „co zdaniem rodziców skłoniło dziecko do przestępstwa”, to w 99,9 proc. odpowiedzi w tym przedmiocie brzmi — „koledzy”.

Nawet w przypadku jedenastoletniego Franka, który przez kilka dni przebywał u ojca, trochę u matki, a czasem u dziadków. Rodzice Franka już dawno nie mieszkają ze sobą, założyli drugie rodziny. Frank chodził brudny, źle ubrany.

„Koledzy” — twierdzi matka 13-letniego Bolka i dodaje — „brak mi już zupeł-



Fot. E. Kudaj

Sytuacja: „KOLEDZY!” jak z kelnerem

Problem szerszy i nie tylko dzisiejszy

Do zabrania głosu na temat młodzieży skłoniły mnie dwa reportaże na łamach „Odgłosów” (Juliusza Janeczura i Karola Badziaka), oba niewątpliwie alarmujące i jako takie skłaniające do szukania środków zaradczych.

Chcę jednak zagadnienie młodzieży potraktować w nieco szerszym aspekcie. „Pijane dzieci we mgle” i „bandy” z „Egzotycznej” to nie fikcja, lecz niewątpliwie rzeczywistość. Ale również niewątpliwie ta część młodzieży stanowi znikomy procent całości. Inna sprawa, że właśnie ta młodzież, spośród której rekrutują się bohaterowie reportaży, z uwagi na to, że gromadzi się w miejscach oświetlonych, reprezentatywnych, położonych w centralnej części naszego miasta — najbardziej rzuca się w oczy.

Problem młodzieży „kawiarnianej” łączy się z problemem „pokolenia zbuntowanych”, które jest zjawiskiem ogólnoswiatowym i jakkolwiek na naszym rodzimym gruncie ma ono niewątpliwie swoją specyfikę,

oku na kredyt. (Patrz problem „Powracające” fali” Prusa i wiele innych). Owoce własnej pracy, własnej drogi życiowej były tylko czymś ubocznym, a nie celem zasadniczym.

Jeszcze niedawno o miejscu w społeczeństwie decydowały przede wszystkim zasoby materialne rodziny. Dziś decyduje zawód, czasem awans społeczny — obie rzeczy łatwiejsze do osiągnięcia. Jeśli z awansem czy zawodem zmienia się środowisko, to niewątpliwie prowadzi to do dezorientacji rodziców, którzy po prostu nie wiedzą jak należy w zmienionych warunkach wychowywać dziecko.

Komplikacje współczesnego wychowania

Proces wychowania komplikuje obecnie dodatkowo szybki postęp techniczny. Jeśli kiedyś była mowa o konflikcie pokoleń ojców — dzieci — to już dziś często dochodzą do głosu sprzeczności — młodszy i starsi bracia. Znamienne dla naszych czasów jest również i to, że nigdy dotąd proces wychowania nie był tak bardzo świadomie przyjmowany przez tych, których doty-

stwa. Koleżeństwo spełniło swoje zadanie wszędzie tam, gdzie partnerzy dążą do wzajemnego zrozumienia. Nie tylko syn musi doganiać ojca, lecz i ojciec musi parzyć syna w rozwoju.

Te sprawy na całej kuli ziemskiej wyglądają podobnie. I wszędzie ulegają poważnym zakłóceniom. Konflikt z rodzicami jest najwęższym czynnikiem prowadzącym do konfliktu z prawem.

„Co zdaniem rodziców...”

Nie neguję faktów przytoczonych w reportażach, nie zaprzeczam, że są smutne. Uważam jednak, że punkt ciężkości zagadnień wychowawczych spoczywa na pauczytelach. Życie przeznaczyło tę rolę rodzicom, szkole, społeczeństwu. To prawda, że dziś nie potrafimy jakoś zdyktować z pożytkiem młodych, z tym można się nawet pogodzić. Ale nie należy godzić się z faktem, że w wielu wypadkach nie potrafimy ustrzec przed konfliktem z prawem dziesięcioletniego dziecka.

A przecież coraz częściej, niepokojąco często, legity-

nie siły, kłamie, ucieka z domu, zawsze bardziej lubiłam jego brata”. Brat Bolka jest młodszy o 4 lata, od chwili urodzenia właśnie do niego należało serce rodziców. Bolek był zawsze na drugim planie.

„Koledzy” — mówi matka siedemnastoletniego Piotra, który od pewnego czasu systematycznie się upija, bije matkę, a przecież dopiero niedawno Piotr wywalczył u niej czystą koszulę, ciepłe obiady. Razem z młodszymi siostrami był chowany przez niedolębną babkę, bo matka była jeszcze zbyt młoda, by przyznawać się do własnych dzieci.

„Koledzy” — twierdzi daleka krewna siedemnastoletniego Walika, który właściwie nie ma rodziców i jego tragedią jest to, że każdy musi ich mieć. Przyszł na świat w czasie wojny. Matka przyjechała na oród z Niemiec do matki narzeczonego. Potem wróciła, poznała innego mężczyznę, po wojnie osiadła z nim na Ziemiach Odzyskanych, po syna nie zgłosiła się nigdy. Ojciec jest wprawdzie w Łodzi, ale ma inne dzieci, z legalnego małżeństwa. Walek nie obchodził go nigdy, nie pozwalał mu nawet mówić do siebie „ojciec”. Kiedy babka umarła, tym razem naprawdę koleczy namówił Walika do kradzieży.

Naturalnie, nie można zapominać, że o „kolegach” mówi się tam wszędzie, gdzie rodzice nie uświadamiają sobie własnych błędów i tam gdzie usiłują je zakryć. Jak również o tym, że koledzy i stwarzany przez nich klimat może być dodatkowym czynnikiem wypaczającym.

Dzieci rodzin zdeprawowanych

Szczególnie ciężki jest los dziecka w rodzinach zdeprawowanych. W tych wypadkach obowiązek stworzenia właściwej przeciwwagi złego oddziaływania rodziców spoczywa na społeczeństwie.

A tymczasem: Zosia, lat 14, ukradła 3 tysiące zł, Wtedy wyszło na

jaw, że trudni się nierządem. Opinia szkoły, do której uczęszczała nieletnia brzmiała: „Zosia uprawia nierząd od I klasy”.

Jak to? Wiele przez siedem lat te fakty znane były szkole i nikt na nie nie zareagował, nie znaleziono żadnych środków zaradczych?

Januszek lat 10. Od dwóch tygodni nie chodził do szkoły, uciekł z domu. W tym czasie „pracował” w cegielni, nosił robotnikom cegły — za kawałek chleba, w nocy spał na ciepłym piecu. — I nikt z pracowników, z kierownictwa nie zainteresował się małym obdartusem. Staszek ma dopiero 15 lat, wygląda na 25. Twierdzi, że wierz tylko młodszym, bo starsi...

Ojciec porzucił dzieci i żonę, gdy ta umierała na raka, zresztą nie byli nawet małżeństwem. Brat ojca znalazł wprawdzie chłopcu pracę, ale kiedy ten został zwolniony z zakładu uznał się za skompromitowanego i przestał interesować się chłopcem. A z pracy zwolnili, bo chłopcu nie podobał się sposób rozdziału premii, zresztą już wcześniej śmiali się z chłopca, gdy ten podczas wycieczki do Warszawy odmówił kieliszka wódki.

Nie, Staszek nie jest żadnym idealem i jego kontakt z sądem nie był wcale nieporozumieniem. W życiu radzi sobie nieźle. Kiedy bezskutecznie usiłowałam dostać się do kina na film „Meksyk w ogniu” mój podopieczny w towarzystwie dwóch kolegów obejrzał film, mimo iż nie miał wymaganego wieku — 16 lat, mimo iż to był ostatni seans kończący się o godz. 22.30 i mimo iż nie miał wcale biletu, tak, właśnie biletu — z kasy. Ale wystarczyło tylko 50 zł dane umiejętnie do ręki bileterce.

Jak doskonale ten fakt musiał niwelować wszelkie wychowawcze oddziaływanie. Tylko, tylko, jeśli mój podopieczny opowiada mi to wszystko sam z odrobiną gorzkości, to można chyba mieć nadzieję, że jeszcze nie wszystko jest stracone.

„Szewc bez butów...”

Podane wyżej fakty są jak najbardziej autentyczne. Autentyczne są również akta osobowe wychowanków zakładu poprawczego w Studzieńcu z lat 1876 — 1880 r. Oto np. Paweł Błażewicz, lat 10 i 8 miesięcy, skazany na 5 lat pobytu w zakładzie (który bynajmniej nie był dzisiejszym zakładem poprawczym ani wychowawczym) za kradzież koguta. Adam Bączek, który od 2 roku życia pałł głęsi, potem 5 mil od Łomży w dużym go spodarstwie bydło, za zewaną gruszkę został pobity, trwale zniekształcenie ciała zostało jako pamiątka po zielonym groszku zerwanym w ogródku gospodyni. W niedzielę chodził do kościoła, mówił pacierz — stwierdzał akta, aż w 15 roku życia ukradł w szynku pół bochenka chleba. Trafił do zakładu na dwa lata. Tak, tak, nowe Kononickiej „Pod prawem”, „Za kratą” to nie żadna literacka fikcja.

Dlaczego o tym przypominam? — Chcę uprzytomnić, że kiedy wówczas sąd tylko karał, dziś w wielu wypadkach broni dziecka, przed rodzicami, nawet przed szkołą — która także często zalega do sądu wniosek w sprawie 12-letniego dziecka: „Zamknijcie w zakładzie poprawczym”.

Trzeba o tym przypomnieć, gdyż ten stosunek sądu do dziecka jest mimo wszystkich ubocznych następstw, przede wszystkim osiągnięciem, m. in. Kononickiej i Orzeszkowej.

Poza tym, to chyba dobrze przypomnieć, zwłaszcza po licznych i obfitych dyskusjach na temat młodzieży, że nawet znani moralisci m. in. sam wielki Rousseau nie zawsze mieli właściwy stosunek do własnych dzieci. A więc może i my nie zawsze jesteśmy w porządku w stosunku do tych nad którymi zalamujemy ręce?

Przysłowia: „Szewc bez butów chodzi” — niczego tu nie usprawiedliwia.



Fot. E. Kudaj

NIE ZNAM SIĘ NA TYM

(Dalszy ciąg ze str. 1)

wynika. Były dwie dobre — stanowiły ekranizację humoru Mrożka pt. „Stoń” i „Obrazki z podróży”. Powyższe nazwisko stanowi okoliczność lagodzącą dla innych realizatorów. Zawsze jest łatwiej odważyć filmowanie, jak się ma jakiegokolwiek inteligenta, który za człowieka myśli (stał w ogóle instytucja scenariuszy filmowych).

Jednym słowem, każda etiuda ma się do drugiej etiudy jak kura do pieprzu. Dlatego też, niczego nie można uogólniać. Uogólnienia, które pragnę poczynić, wyglądają następująco:

Etiudy szkolne, jako gatunek są zjawiskiem społecznym interesującym z jednego jedynego względu: powstają one (już od wyboru tematu i ewentualnej wartości myślowej „dzieła” poczynając) w warunkach absolutnej wolności autorów. Absolutnej dowolności wyboru. A więc w warunkach, w jakich prawdziwe filmy nigdy i nigdzie na świecie nie powstawały, nie powstają i powstawać nie będą. Tematów etiud nikt nie kontroluje, nie mają one zaspokajających żadnych społecznych potrzeb, nie realizują niczyjego, w tym społecznego zamówienia, także nie, nie są przeznaczone dla publiczności i nie wąż tu jej gusta, ani też wszelkie inne względy. Dzięki nim, możemy więc obserwować w formie czystej poglądy społeczne, czasem „filozoficzne” oraz artystyczne ludzi, którzy jak Bóg da, zostaną prawdziwymi filmowcami.

Najogólniej syntezę tych poglądów zawrzeć można w następującej kwestii Głęzówki:

„O co chodzi nie wiem sam, Ale sercem, Polską gram. Muchy brzęczą. W niebie krzmi.”

Słońce świeci. Pada dżdż”.
Szczegółowiej: Polska składa się z bruku oblanego deszczem i dachów już niekoniecznie oblatanych. Bruk i dachy mogą służyć różnym celom: mogą być tłem opowieści poetki i służyć li tylko tworzeniu nastroju, co jest dla mniejszych uwag rzeczą obojętną. Mogą natomiast służyć również opowieściom np. realistyczno-psychologicznym. Mały chłopiec ściera się ze światem dorosłych. Usiłuje w tym świecie wydać znalezioną monetę z wizerunkiem króla Wiktora Emanuela. Przy tej okazji oglądamy świat dorosłych jego oczyma. Doświadczamy życia w jakimś dziwnym mieście o pustych ulicach, nie kończących się szeregach bud. Chłopiec biega w mroku. Przyjmuje.

Ale oto w umiłowanym bruku jest dziura — bohater następnej etiudy. Wokół dziury toczy się akcja opowieści filmowej adaptującej klepskie opowiadanie Alberta Maltza. Opowiadanko nazywa się „Popołudnie w dzungli”. Mały chłopiec walczy z dużym facetem (gdzieś tam kiedyś w USA) o monetę, która wpadła do kanalizacji. Obaj zawodowo trudnią się wyławianiem takich monet. Obaj są głodni. Powodują nimi prawa dzungli. Dziecko jest bardziej bezwzględne itd. I oto moneta dolarowa przemienia się w dziesięciotętówkę, miastem jest Łódź. Ktoś tu najdelikatniej mówiąc — bredzi.

Potem bruki i dachy służą chacie o tym, że Łódź jest zakopana i nawet miastem obserwacyjnie reportażowi z łódzkiej uliczki (nareszcie ludzie, nawet żyją, mówią — choć są zdeformowani na włoski neorealizm) tyle, że ze strasliwym, pretensjonalnym komentarzem.

(Pretensjonalne i przegadane było wszystko — oprócz Mrożka).

Najbardziej jednak przygnębiające wrażenie zrobiło to, że ci wolni do absolutu, nieczym nie skrepowani, nie potężni twórcy zaprezentowali niewydolność myślową. Cóż mają oni do powiedzenia?

Że jak się chodzi do muzeum, to stoi w nim dużo rzeczy. Że z łódzkich komi-nów leci sadza. Że hitlerowcy to mało, że mordowali, ale jeszcze wcale nie byli gentlemanami, że po łódzkich ulicach włóczyli walcza z głodnymi dziećmi o bilon, który wpadł do kanalizacji, że świat dorosłych widziany oczyma dziecka jest inny (zły i nielogiczny) niż widziany oczyma tychże dorosłych i że Barbara Kwiatkowska jest ładna, szczególnie w kolorach, a zestawienie ożywionego przedmiotu z śmiesznymi ludzikami jest nad wyraz wdzieczne i komiczne.

W sumie, spędziłem bardzo miły seans.

Film, literatura, plastyka itd. są rzemiosłem, którego można wyuczyć. Jeśli ktoś ma do tego talent — będzie robił rzeczy genialne, świetne, ciekawe. Jeśli ktoś ma antytalent, będzie robił fatalne. Jeśli ktoś nie ma, ani talentu, ani antytalentu — będzie robił rzeczy normalne, które się wyświetla w kinach, wydaje w wydawnictwach i ogląda na ścianach kawalerii lub w prywatnych magazynach malarzy.

Wydało się, że pierwszą legitymacją kandydata na twórcę musi być fakt, że ma on coś do powiedzenia, że przynajmniej ma zamiar mieć coś do powiedzenia i właśnie nad tym myśli. Opanowania środków technicznych służących wyrażaniu myśli, można nauczyć każdego absolwenta szkoły średniej, ale czy to znaczy, że równie łatwo nauczyć można myślenia, czynnego stosunku do świata? Z tym bywało — jak widać — większe kłopoty.

Zresztą może tych banałów nie powinienem przyczepiać do etiud filmowych, może etiudy nie służą legitymowaniu się studentów myślenia i obserwacji? Nie są sposobem wyrażania ich stosunku do jakichś problemów, faktów, metodą przekazywania obserwacji, prezentowania „wega indywidualnego sposobu patrzenia na świat, doprowadzania przemyśleń do syntezy w postaci filmu? Jeśli tak, to oczywiście bardzo przepraszam. I w ogóle niezależnie od tego, bardzo przepraszam. Może, żeby mówić o sferze myśli, powinienem zapoznać się z wypracowaniami, pardon dysertacjami, studentów PWSTiF albo ich zdjęciami fotograficznymi?

Ale co robić? Przeglądamy mnie widmo kinematografii polskiej, w której doskonali już fachowcy od ruchomych obrazków opowiadają nam, że hitlerowcy byli źli, dzieci są naiwne, na ulicach Łodzi włóczyli walcza o bilon w kanalizacji (albo, jak trzeba było odwrócić — włóczyli nie istnieją i nie walcza). Trapi mnie wizja dramatu na dwie godziny o sadzy, która jest niezdrowa, albo o głupawej dziewczynie, która w niezgrabnej pidżamie biega po salach muzeów, a jej mąż chodzi po śniegu i woła w pola i lasy.

Pardon. Ja tylko zaczepiłem. Co będzie dalej, zobaczymy.

ZBIGNIEW CHYLINSKI

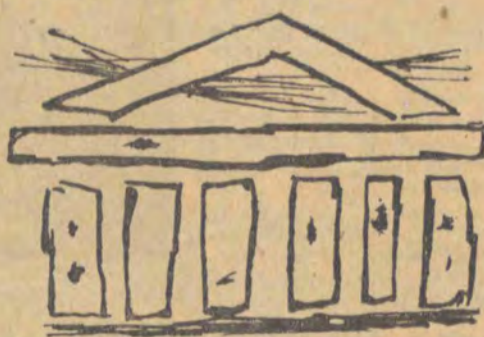
TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI

TAK JAK ANTENOR...

Tak jak Antenor w niepowrotne wstępując, wezmę na ramiona ojca bezradną siwą pamięć, rumieniec matki i dzieciństwo mych dzieci w kącie zarzucone, garsć tanich myśli, parę uczuć porozbijanych jak zabawki, zawartość szuflad zatrzaskniętych przez płomień, klucze z mgły uwieszę w dziurkach powietrza, cienie mieszkań przechowywane w hipotece; zabiorę ścichłych drzew powidok — plamę karminu na zielonym drzącą i taką intensywną jak pożar mitu i brząsk życia...

Tak jak Antenor wyjdę nagle z przestrzeni — nieposłuszny Pismu które powiada, że niczego nie wezmę z rzeczy, com zaskarbił...

1959



LEOPOLD BECK

Kilka cytatów z okazji „Mirandoliny” w Teatrze Jaracza



Ryszard Bacciarelli i Janina Martini

(Fot. G. Puciato)

Jacy są recenzenci wiadomo było jeszcze wcześniej, nim Truffaldino w „Kruku” Gozziego (Teatr Nowy) w jednym z intermedii wygłosił taki oto tekst (płora Kazimierza Dejmka):

„Gdybym był aktorem i zlą o sobie recenzję przeczytał — nie rozpaczalbym, lecz zaczął rozważać — jakież to uchybienie dopuściłem się wobec żony recenzenta, wobec kochanki recenzenta, wobec pioski recenzenta, wreszcie wobec samego recenzenta. Najmniej ważnym — byłaby moja zła gra...”

„Dodając do tego obrzydliwą umiętność wężenia nosem za tym, co modne... plus obrzydliwą chęć przypodobania się moim poprzecz chwalenie tego, co oni chwalą i ganiecie tego, co oni ganią...”

„plus zły smak, który każe im wynosić w pracy aktora rzeczy godne potępienia, a potępiać rzeczy godne wyniesienia...”

„oto prawie wszystko, bo być recenzentem, a więc człowiekiem żyjącym bezczelnie z pracy biednych

aktorów, by być czymś w rodzaju eunucha, który doskonale wie, jak się to wszystko robić powinno, cierpi jednak na organiczną niemoc...”

„gdyby jeszcze cechowała ich skromność. Ale gdzie tam! Ferują sady ostateczne, bez nadziei na apelację bez cienia wahania i wątpliwości...”

Wyliczenie charakterologicznych właściwości recenzenta znamy od dawna również i z licznych innych — rodzimych i obcych — źródeł literackich, nie mówiąc już o źródłach szepczących. Portret recenzenta należy więc przyjąć jako prawdziwy.

Rozważmy jednak, proszę zebranych, całą sprawę również od drugiej strony medalu, zgadzając się z tym, iż recenzent nie powinien odstraszać ludzi od uczęszczania do teatru!

Ale czy teatr ma takie prawo? Oczywiście, że nie! Głosujemy! Sprzeciwu nie widzę, dziękuję...

Z jakim mistrzostwem przygotował Goldoni wejście na scenę głównej osoby swej komedii „Mirandolina” — właśnie wejście Mirandoliny! O jeszcze nieobecnej młodej oberżyście wiodą zacieklej spór prawdziwy markiz i wielki bogacz, a wynika z tego wszystkiego, że widz ujrzy niewątpliwie czystą inkarnację kobiecego wdzięku i zwycięskiej młodości, że zobaczy Mirandolinę nie zadającą kłamu własnym słowom.

„Gdybym chciała wyjść za mąż za wszystkich, którzy mi się oświadczyli, ileż miałabym mężów! Kto tylko zajadzie do mojej gospody, ten od razu zaczyna kochać się we mnie i dalejże w koperczaki; a tyłu, tyłu, tyłu chciałoby nawet ożenić się ze mną...” (akt pierwszy, scena dziewiąta).

„że zobaczy Mirandolinę, za którą szaleje każdy mężczyzna w sztuce — poczawszy od hrabiego do służących włącznie; że zobaczy Mirandolinę ujarzmiającą swoim wdziękiem największego na świecie wroga kobiet:

„Ach, zakochał się, zakochał aż po uszy, zakochał się na śmierć, na zabój!” (akt trzeci, scena trzecia).

Ale co się okazuje? Okazuje się raz jeszcze, że nawet w świecie umownym takie właściwości, jak wdzięk i młodość nie zawsze mogą być kategoriami umownymi. Powinny one, nawet w świecie umownym stać się rzeczywistością — o ile od tych właściwości (prócz aktorskich) zależy rola, intryga a w naszym przypadku i sukces całej komedii. Inaczej wyłania się smutna sprzeczność między zamierzoną prawdą artystyczną a realizacją.

Reżyser (Hanna Małkowska) chcąc Mirandolinę obsadzić „na pewniaka” — wybrał aktorkę, która ma w tej roli tyle lat doświadczenia, ile lat życia ma Mirandolina w sztuce. Zastąpienie biologicznych faktów — umownością nie udało się tym razem, chociaż historia teatru zna wiele udanych eksperymentów w tej dziedzinie, zna nawet i takie przykłady, kiedy to brak warunków biologicznych został z ogromną nadwyżką wyrównany — dzięki wielkiemu kunsztowi gry wybitnej indywidualności.

Obsada głównej roli zaciążyła więc na spektaklu Teatru im. Jaracza.

Przejawiło się to przede wszystkim w zwolnionym tempie tych scen z Mirandoliną, które znamy jako wybuchy temperamentu młodej oberżyści. Niestety — nieodczuwana świeżość refleksu, szybkość gestu, ruchu, ewolucji — nie da się zastąpić rutyną i poprawną dykcją, a zwinną figlarnością i lotnością dziewczyny — diabełka — anielską szatecznością. I tak, wobec faktu, że pozbawiono tę rolę jej prawdziwego sensu, reżyser stracił szansę podkreślenia wartości aktorów, zatrudnionych w „Mirandolinie”: Janina Martini, Włodzimierz Skoczylas, Jerzy Cwikliński, Antoni Lewek, Ryszard Bacciarelli, Józef Łodyński, Lena Wilczyńska, Krystyna Lapińska.

Ale aktorzy i tak odchodzą przy oklaskach... Skoczylas, Cwikliński, Łodyński na przykład. I publiczność ma świętą rację.

A nie recenzent, przedstawiciel plugawego rzemiosła, jak mówi Truffaldino u Dejmki.

Carlo Goldoni: Mirandolina, przeład Leopold Staff, Reżyseria: Hanna Małkowska. Scenografia: Jadwiga Przeradzka, Aleksander Jedrzejewski, Muzyka: Edward Żuk.



WYSPA NIPU

Wyspa Nipu leży na południowo-wschód od okna, na etażerze Wojtka. Tam rządzi sprawiedliwe prawo. Rzuć tylko okiem — Koronny król gra z górnikami w klasy. Wanka-wstańka i pierrot budują z klocków secesyjną wieżę babel, krzyżacy układają na talerzykach pisanki — każdemu wedle potrzeb — szykuje się wyprawa na bezludny glob pitki. Wyspą zarządza pewien roztropny tygrys.

Ale od wczoraj na framugę okienna wpłynął nieznany statek, ma bładeróżowe żagle i cyfrę królowej Izabelli Kastylijskiej.

Płyń spod Przyładka Dobrej Nadziei i najdalej za rok odkryj wyspę Nipu. Wtedy przywiezie Wojtka do Starego Świata, gdzie rządzi prawa historii.

1958



Kto winien?

Ostatnio przestałem interesować się tygodnikiem „Odgłosy”. Przysnąłem, że uczyniłem to z powodów dość blawych, ale być może blawie powody mają jednak źródło w zasadniczych rozbieżnościach światopoglądowych, w których problemy Łodzi są traktowane na zupełnie odmiennych platformach. Po prostu mimo nowego wysiłku nie umiałem w tym czasopiśmie znaleźć odpowiadających mi myślowo artykułów. Ostatnio jednak moi przyjaciele zwrócili mi uwagę, że tygodnik Wasz rozpoczął dyskusję o młodzieży i prosił mnie, bym wygłaszał Panom parę słów prawdy, choćby dlatego, że przyjęła przez Wasz zespół postawa różni się zasadniczo od postawy środowiska, w którym się obracam.

Jestem przedstawicielem tej grupy młodzieży robotniczej, która nadal pracując fizycznie w fabrykach, stara się myśleć nad problemami dnia dzisiejszego. Nie należymy, niestety (tak jest niestety), do tych, co mogą spokojnie spędzać czas w kawiarniach, ponieważ wolno od pracy i obowiązków domowych gołąbów poświęcamy na stałe do kształtowania swych niedouczonych mózgów.

A więc przede wszystkim problem numer pierwszy. Nie ma mowy o podziale młodzieży na tę złą kawiarnianą i tę dobrą spoza kawiarni. Można tylko zauważyć różnicę pomiędzy młodzieżą „inteligentką”, która spędza wolny czas kulturalnie przy kawie lub winie i robi to w taki sam sposób w kawiarni czy gdzie indziej i młodzieżą robotniczą, która zbiera się w różnych kątach, z reguły przy litrze wódki i piwie.

Bo czym w gruncie rzeczy ma się ta młodzież zajmować? Jest ona z natury swojej czynna i buntownicza, tak jak czynni i buntownicy byli młodzi średniowieczni żacy, jak czynni i buntownicy byli młodzi romantycy połowy XIX stulecia i czynna i buntownicza jest młodzież wszystkich kontynentów i stuleci pod słońcem. Nie uważam więc, że środkiem wychowawczym dla zepsutych przez życie młodych ludzi mogą być metody policyjne i więzienie.

A teraz problem numer dwa. Możemy śmiało dzisiaj powiedzieć, że wielką bzdurą jest optymistyczne pocieszanie się, iż tylko nieliczna grupa młodych zachowuje się w sposób niezgodny z powszechnie przyjętymi zasadami moralności ogólnoludzkiej. Nie wierzę, że to zapytacie tych, co znają środowiska fabryczne tak dobrze, jak znamy je my. Ilu jest chłopców pracujących poniżej lat 18, którzy nie poznali smaku tytoniu lub spirytusu, a ile enolitych 16-letnich robotników?

A co robią po wypłacie niektórzy chłopcy? Robią składkę. Składkę na tzw. litra, który zresztą jest tylko określeniem czysto teoretycznym, bo po jego wypiciu apetyty wzrastają. A kto lubi wódkę, ten pójdzie na wszystko, aby zdobyć pieniądze na ów cel. A szczególnie podatny grunt do przestępstwa stanowi ów zatruty alkoholem element.

I tu rzucają nam się w oczy dalsze niestusne wniosków narzucające czystym

„Odgłosów”. A więc problem nr 3. Nieprawdą jest, że kawiarnie są wylegarnią opisanego zła i problem nr 4, nieprawdą jest, że zjawiska tu opisywane należą do marginesu spotykanego zawsze na ogół wśród rozmaitych szumowin wielkich miast. Demoralizacja młodzieży nigdy bowiem nie była tak silna jak obecnie i nie obejmowała tak szerokiego kręgu.

Niestuszną też rzeczą jest powoływanie się na fakt istnienia podobnych wypadków w krajach Europy Zachodniej i Ameryki Północnej. Tam źródła tych zjawisk, są wprawdzie identyczne, jak u nas, lecz trzeba zwrócić uwagę, że ich podłoże jest inne. Jest bowiem poważna różnica pomiędzy produktem stosunków kapitalistycznych, a procesem powstałym na bazie ustroju, w którym stosunki socjalistyczne przeważają. Trzeba pamiętać, że prywatna własność środków produkcji jest faktycznym i zasadniczym hamulcem takich procesów jak demokratyzacja i każdy poszczególny wielki posiadacz jest jednocześnie małym despotą mogącym bezkarnie łamać wolę podległych mu ludzi, a co za tym idzie w latach względnego dobrobytu zbyt daleko posunięta ideowość młodych po prostu nie popłaca. U nas baza ekonomiczna powinna więc likwidować spuściznę tego, co było wytworem niesprawiedliwego ustroju, a nie tworzyć warunków do jeszcze większego i do tego dynamicznego rozwoju tych zjawisk. I tak na pewno jest, bo socjalizm posiada doskonałe środki ku temu. I nie w jego gospodarce, jak to ma miejsce w kapitalizmie, leżą przyczyny istniejącego zła. A tego jakos nikt dotychczas pod uwagę nie chce na serio brać.

Natomiast każdy widzi źródło, choć może nie chce widzieć skały, z której ono wytryska. Źródłem tym jest bezideowość. A tam gdzie młodzieży brak idei, tam naturalna u niej dążność do działania nie może natrafić na żaden opór bodźców moralnych, tak słabych w owym przejściowym wieku.

Sięgnięcie do starych metod burżuazyjnych jak harcerstwo lub sport da tutaj niewiele, bo do tych środków sięgnięto już i nie pomogły. Są one dobre dla dwunastoletków, a nie dla tych, co się uważają za dorosłych.

Czemu nikt nie zapyta, jakie są postulaty pokolenia wychowanego w warunkach stosunków socjalistycznych, lecz ciągle mu przypomina o postulatach pokolenia przedwojennego i okupacyjnego? To Wy doradźcie odrywanie nas od udziału w życiu, którego się domagamy, a później dziwicie się, że po zepchnięciu nas na bok znaleźliśmy się nagle na marginesie. Na naprawę tego stanu rzeczy jeszcze jest czas. Partia dysponuje takimi środkami. Jeśli nie pomożecie nam, to co nam pozostaje? Wyżywiamy się nadal w alkoholu i erotyzmie i ludzkie nadzieje, że znajdują się jednak tacy, którzy się nami jednak zainteresują.

ANTONI CHYLIŃSKI

lat 29, robotnik PZW im. Gwardii Ludowej w Łodzi, zam. Łódź, ul. Pojezierska 22, m. 2.

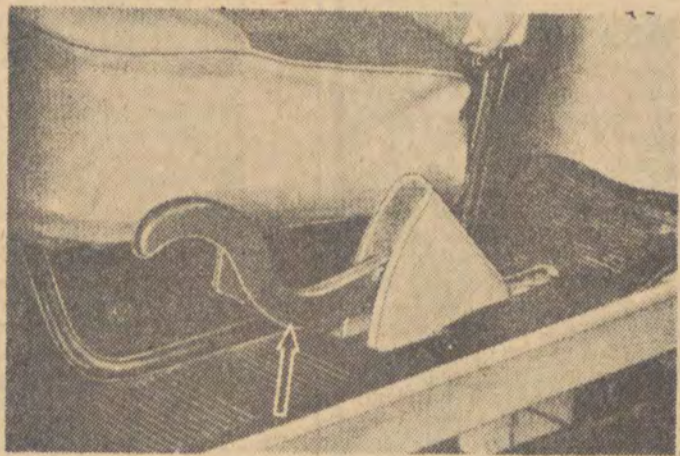
MOJA KOCHANA!

Byłaś ze mną wszędzie. Pobraliśmy się przecież na dół i niedołą. W największe mrozy, zadymki i gołota, gdy radio podawało, że Polsce przerwane komunikację samochodową — myśmy dojeżdżali do Zakopanego lub Gdańska. Wspólnie przebiegaliśmy się przez zapy, nie brakło nas w mgie i w deszczu. W rowie — nieopoda! Główna — byliśmy kiedyś także. Przebiegaliśmy razem „Raid Zimowy” i mamy niejedną wspólną tajemnicę. Ja wiem, ile godzin przeczekaliśmy pod kawiarnią, a Ty jedynie wiesz, ile mandatów zapłacił mi panom milicjantom i pod którym oknem lubimy trąbić oboje. Nie zdradzę Cię: będę pisał o Twoich usterekach, jak o wadach kogós, kto nam jest — na przekór wszystkiemu — bliski.

Jest film pt. „Ożeniłem się z czarownicą”. Ja się nie ożeniłem z czarownicą — ja się ożeniłem z Tobą. Byłaś wtedy bladzieloną „Syreną”. Znam na pamięć Twoje dane personalne i Twoją przeszłość — 180 km, które zastanę na liczniku. Urodzona w roku 1959 w Fabryce Samochodów Osobowych na Żeraniu posiadasz silnik dwusuwowy, produkowany w Belsku. Kiedy jesteś w dobrym humorze — potrafisz dać w kość każdemu rywalowi na sosie. No, ale z nastrojami, to u Ciebie różnie. Pamiętasz dzień, kiedy się spotkaliśmy? Zaczęliśmy od spaceru. Oczywiście Piotrkowską. Na rogu Tuwima było czerwone światło. Potem przyszło zielone, ale staliśmy nadal. Ruszenie „z dwójki” nie udało się nam także. Pan milicjant gwizdał, panowie taksówkarze mówili o nas brzydkie rzeczy, a my beznadziejnie tarasowaliśmy skrzyżowanie. I mowy nie było o wycofaniu się z honorem, bo Ty wstępnym biegiem już wtedy swoim zwyciężasz „nie wchodził”. Wreszcie zrozumiałem, że to Twój silnik zaskoczył

EDWARD ETLER

Moje małżeństwo z „Syreną”



Uwaga! Myślicie, że to hamulec ręczny? Nic podobnego. To jedynie element dekoracyjny.

stępnym towarzysz wadliwego przełączenia. A jednak któregoś dnia w stolicy, badając pod „Hybrydami” okazało się nagle, że zamiast pięciu biegów masz tylko dwa: trzeci i wsteczny. Uprzejmy taksówkarz za skrośną opłatą (100 zł) wziął nas na linkę i zaciągnął do specjalisty. Kuracja kosztowała złoty siedemset (robocizna, a także nowe „rolki” i „widelki”). Wtedy pierwszy raz pomyślałem o rozstaniu. Odpowiedział mi matychmiast. Twój silnik, mając już nową skrzynię biegów — zamontowany — ani nie myślał zaskoczyć. Robiło się ciemno i padał deszcz. Zostawiłaś

ulicy Kilińskiego, gdzie Cię już dobrze znają i w firmie p. Bogusławskiego (karoseria) i u p. Kaczora (silniki). To nie była Twoja zemsta, niestety Cię podejrzewałem: to serduszek Ci pękło na myśl o naszym rozstaniu.

Moja Droga! Ja wiem, że nie masz zielonego pojęcia o technice, ale powinni je mieć dwaj artyści. Pierwszy, który konstruował Twój silnik i drugi, który go zatwierdził do produkcji. Pomyśl tylko, łożysko na czopie korbowodu, tam gdzie jest największe obciążenie — składa się z rolek, wyglądających jak ołowiane i z „koszyczka” wykonanego z aluminium! To powinno przekonać każdego niedowiarka czy małżonka, że silnik typu S-15 stanowi konstrukcję całkowicie oryginalną.

Moja Miła! Twoje koło zamachowe wisi na pięciu śrubach, które nie tylko lubią, ale i niestety same potrafią się odkręcać (zabezpieczono je jedynie cienką blaszką) i stąd pochodzi charakterystyczne postukiwanie, które słyszysz zdejmując nogę z „gazu”. Albo materiał, z którego wykonano cztery „szpilki” przytrzymujące przy rodzimym bloku importowany gazik! Bozia tylko wie, z czego są one zrobione, ale ani Ty ani ja nikomu chyba nie poradzimy, by je próbował dokręcić, prawda? Hm, mamy w tej materii niejaki doświadczenie (320 zł), podobnie jak w dokręcaniu na mrozie obłożonego koła zamachowego.



Nowocześnie i dowcipnie pomyślany wlew paliwa. Jakże to wygodne, prawda?

w przeciwną stronę, że trzeba Cię zgasić i uruchomić od nowa.

Nazajutrz pojechaliliśmy do Poznania, na Targi. Przestrzegając szybkości, wskazanych katalogowo na „docieranie” byliśmy chyba z siebie nawzajem zadowoleni, a ponadto winnaś mi była wdzięczność za usunięcie blokowania na bębnie hamulcowym (150 zł). A jednak już w powrotnej drodze sprawiałaś mi brzydki kawał. Twój amperomierz niespodziewanie zaczął wskazywać „in minus”. To zawiesiły Ci się szczołki w prądnicę. Diagnosta okazała się łatwiejsza od terapii (250 zł), a że pora była dośyć późna, więc i wspomnień jaśniejszych nie zanotowaliśmy.

Twoje siostry „Syreny” miały kłopoty ze skrzyniami biegów. Śmieliśmy się z tego oboje, spokoju naszego stadła nigdy nie zakłócił żaden przykry zgrzyt — nieco

mnie w Warszawie bez grosza. Sądziłem, że to Twoja zemsta jest tak okrutna i nieładnie o Tobie myślałem przez te trzy godziny, gdy na hołu wracaliśmy (200 zł) do Łodzi. Zostawiłem Cię na

Ten sam lub inny artysta zaprojektował także kranik paliwa, który znowu dzięki materiałowi (guma „puchnie” w towarzystwie mieszkanki) staje się powodem nieustannych kłopotów. Oczywiście kranik można poddać odpowiedniemu zabiegowi, ale trzeba w tym celu wymontować bak, najczęściej pełen wówczas benzyny. Pamiętaj, jak to zajęcie stało się dla nas powodem pewnej rozrywki, gdy się nam śpieszyło i gdy byliśmy sami. Pamiętaj?

Tylko Ty i ja wiemy coś, czego nikt nie wie: usuwanie kolejno pojawiających się usterek daje coś w rodzaju męskiej satysfakcji. Jak każde — choćby nie zawsze udane — kształtowanie charakteru współmałżonka. Ale pewnego dnia opadają ręce. Przychodzi ośnienie. Przecież i Ty wiesz i ja wiem, że utrzymanie Twojej rury wydechowej kosztuje więcej niż utrzymanie całego samochodu! No powiedz, ta rura wraz z tłumikami wymaga stałej opieki grona wykwalifikowanych spawaczy. Ty i Twoje Siostry potrafcie każdego, kto się z Wami ożeni, wprowadzić do grona ludzi, o których bępnudła można rzec na kilometr, że są posiadaczami „Syreny”. Ciągłe wsluchanie w odgłosy silnika i skrzyni biegów. Nieustannie badający stan przegubów, zamków i zawiasów drzwiowych. Wciąż zainteresowani, czy nie cieknie z amortyzatorów, czy nie urywa się linka od „gazu”, czy amperomierz wskazuje ładowanie, czy tłoczek hamulcowy nie wyskoczył itd. Dopytujemy się nawzajem o świece i tajemnicę zapłonu, a potem roztrząsamy milion problemów, których normalny samochodziarz nigdy w swoim życiu nie napotka.

Moja Kochana! Ja wiem, że Twoje Szan, Siostry dojechały do Monte Carlo. I Ty i ja widzieliśmy je w akcji, no i oboje myśleliśmy o sam. Że łatwiej przygotować serię (hm...) samochód do jednego, gwałtownego wysiłku niż do długiej, pocziwej pracy nawet w okresie gwarancyjnym. No i oglądaliśmy przy okazji nie tylko samochody, ale mogliśmy także poznać kwalifikacje kierowców. Wolno nam zatem przypuszczać, że tacy np. pp. Varrisella czy Wierzbina na motorowerach „Simpson” dojechaliby do Monte Carlo. Ale co Moja Miła poradziły tyśięcnej rzeszy obywateli, których nie stać na „Moskwicze” czy „Oktawie”? Oni są skazani na „Syreny”, choćby nawet obce im było uczucie, które Ciebie i mnie łączy. I bez naszych rad i niezależnie od naszych ostrzeżeń rozkupiały Two Siostry z Motozbytu, a którzy z nich nawet i Ciebie odkupi. Ode mnie.



Władysław Rymkiewicz ROMANS KRÓLEWSKI

Powieść historyczna

XV.

Streszczenie

Starcie pomiędzy podkanclerzym Radziejowskim a braćmi jego żony — z którą romansuje król Jan — Kazimierz — zakończyło się wydaniem przez sąd marszałkowski wyroku, skazującego podkanclerzego na śmierć i wieczną banicję, a panią Radziejowską i jej braci na osadzenie w wieży. Ale od wydania wyroku do jego wykonania jest jeszcze daleko...

ROZDZIAŁ XI.

Jan Kazimierz przestał się modlić, odłożył różaniec i książkę do nabożeństwa w okładce z czerwonego pluszu w złotych kłamek i powiedział: — Przybliż się waćpan.

Tyzenhauz podszedł ostrożnie, elastycznym krokiem, jak kot. — Słucham, najjaśniejszy panie!

— Bliżej.

Pokojowiec królewski przy sunął się skwapliwie do poręczy dywanowego krzesła. — Pochyl się waćpan — mruknął król.

Zgięty wpół, nadstawił ucha łowiąc z uniożonością słowa królewskie. — Pani podkanclerzyna przeniosła się z klasztoru do swych włości w Golendzinowie na Pradze.

W miarę napływającego równomiernie szeptu — oczy dworzana zaokrąglaly się, rzadkie brwi podjechały do góry i na czole wyłobily się cienkie zmarszczki. Potakując ruchem głowy wyrażał uwagę, żeby nie urościć słowa z tego, co mówił król, i zapamiętać dokładnie wszystkie zlecenia.

W pół godziny potem przeprowadził się w karcie na promie przez Wisłę na praski brzeg. Rozparty na siedzeniu, wyciągnął długie nogi i zamyślił się nad zawiłym i niejasnym biegiem spraw po ogłoszeniu wyroku sądu marszałkowskiego, i nad zagadkowym zachowaniem się podkanclerzyny. Prawde mówilo przysłowie: „Lacniej wór pcheł upilnować niż jedną niewiastę”.

To, co ujrzał w podwórzu dworskim, nie zdziwiło go, a nawet utwierdziło w przekonaniu o słuszności królewskich ostrzeżeń, które brzęczały mu w uchu: Pani Radziejowska krzywdy swym poddanym czyni i tyranizuje ich... Obraz człowieka w lachmanach, z wygiętym palakowato grzbietem i zakutymi w gąsiorze dłońmi i sztygą przepłynął w kącikach oczu. Chłop z wyciągniętymi rekami zamkniętymi w otworach desek na wysokości twarzy, wzniesionych na słupkach, i z przeciągniętą przez otwór, wydłużoną meczęńską szyją w deskach wyglądał jakby miał zamiar chodząc na czworakach. Tyzenhauz wzdrgnął się z obrzydzenia.

Wyskoczył z karety i pobiegł po chybotających się stopniach drewnianych schodków na ganek, do sieni. W świetlicy przepadł do białych pachnących dłońmi cudnej jejmości. — Jaka piękna i nadobna! I foremna! — chwalił wznosząc obie ręce pani

Elżbiety w górę i przypatrując się z miną znawcy jej zgrabnej figurze. — I jaka zmieniona! — chciał wykrzyknąć, lecz okrzyk zamarł mu na ustach, puszczone ręce pięknej pani opadły lekko wrdłuż ciemnowisnolowej sukni z floryzowaną tkaniny.

— Witam waćpana. Co słyhać na królewskim dworze? — pytała sennie, bez zainteresowania. — Jak zdrowie króla jegomości? — powtarzała wytartą formułkę.

Zdumiony niespodziewaną odmianą, położył kapelusza na ławie i przyjrzał się z ciekawością cudnej jejmości. Gdzież dawna płochość, zadowolenie z siebie, chęć podobańia się, kokieteria? Gdzież podziła się trzpiotka i zalotnica? Nie był naiwnym głupkiem, żeby zwierzyć, że półroczny pobyt w klasztorze zrobił z pierwszej damy pałacowej w Polsce, najbogatszej i najbardziej interesującej pani w stolicy skromnisie, która się wyrzekła świata i jego uroków. A jednak w ścigłej i pobladłej twarzy, w chmurnym spojrzeniu szafirowych oczu widział powagę, a nawet niespykanną dawniej surowość.

— Miłościwa pani zna treść wyroku sądu marszałkowskiego? — podsunął taboret do ławy wymoszczonej kobiercami, na której usiadła podkanclerzyna. I zaraz zganił sam siebie. — I po co pytać o to, nieprawdaż? Każde dziecko zna wyrok. O tej sprawie głośno w kraju i za granicą. Wszelako nie trzeba ukrywać, że opinia jest po stronie pana Radziejowskiego. He! — pokłonił z ubolewaniem głową. — Pan Radziejowski był duszą opozycji i nieukontentowanych, których po bitwie pod Beresteczkiem jest więcej niż stronników królewskich. Ach, czego ludzie nie mówią! Powiadają jakoby brat mości pani, wielmożny podskarbi litewski afrontował Radziejowskiego z namowy króla. Powiadają, że cała heca to spisek ze strony najjaśniejszego pana, który uwziął się, żeby zgubić znieprawdzonego ministra. Żadna sprawa nie dostarczyła jeszcze tyle żeru plotkarzom, co spór podkanclerzego z królem! — opowiadał z werwą. — Teraz pan Radziejowski pozwał do Trybunału w Piotrkowie brata jejmości pani, pana Słuszkę, raz! Pozwał jejmość panią, dwa! Pozwał do trybunału notariusza kancelarii marszałkowskiej za to, że wyrok wydany bez doreczenia pozwu, trzy! Pozwał instygatora Radwańskiego, że wniósł bezprawnie skargę do sądu marszałkowskiego, cztery! Pozwał adwokatów Iderskiego i Zielińskiego, że podjęli się obrony z urzędu, cztery, pięć! Woźni grodzący w całym Królestwie ogłaszają wyroki sądu marszałkowskiego i uniwersał o banicji podkanclerzego, a jednocześnie czytają wezwania przeciwko urzędnikom tegoż sądu! Latwo pojąć, ile na tym cieni powaga króla, sądu i trybunału! — śmiał się uszczypliwie. — W całym kraju baluch i zamieszanie! Podskarbi, pani podkanclerzyna, pan Radziejowski, król, sąd, sejm, wszyscy oskarżeni i oskarżyciele — razem! Rzeczpospolita przemieniona w jedną izbę są-

dową, gdzie wszyscy oskarżycielami, oskarżonymi, sędziami i obrońcami! He! Król jegomość dowiedziawszy się, że pan Radziejowski pozwał pana Słuszkę i mością panią, postanowił zamknąć obojga państwa w wieży, żebyście w Piotrkowie przed trybunałem stawać nie potrzebowali. Mościła pani lęka się?

Mała chwila milczenia, pięć sekund napiętej ciszy wystarczyły mu za odpowiedź. Pani Elżbieta przyłożyła do szyi dłoń, jak gdyby zastanawiając kłębuszek strachu, który się kłótał w gardle poruszając tchawicę.

— Moja miłościwa pani boi się wieży in fundo? —

najmniejszego wrażenia. Cudna jejmość złożyła ręce w maldrzyk, spuściła oczy i po wiedziała skromnie: — Król jegomość zrobi co będzie uważał za słusze. — wzniosła oczy.

Wyczytał brak zrozumienia w rozszerzonych źrenicach, gdzie otwierały się szafirowe otchłanie, od których omdlewał zakochany król. Pani Elżbieta zdawała się być pogrążona w nieokreślonej melancholii, smutna i pogodzona z losem. Dostrzegł świetną okazję do pocieszenia. Takie strapienie ślicznotki chętnie przyjmują słowa pociechy. Przesiadł się z taboretu na ławę, wziął w ręce dłoń smutnej pani i zaczął okrywać

plotka i ścisnęła kształtne palce.

Ujął białą dłoń i złożył długi pocałunek. Wyswobodziła reke. — Nie wprzód niebo, wprzód idzie zasługa. Waszmość możesz mi dać pa-rol?

Kwaśnosłodka uśmiešek podniosł kąciki zaciśniętych ze złości ust Tyzenhauza. Wściekłość go rozpierała. Uśmiechał się tym słodziej, rozkładając ręce, w końcu wziął z taboretu kapelusza.

— Otóż to! Dziwni są dzisiejsi miłośnicy! Przychodzą do swej wybranki jak pijanice do konwi; jeżeli ją zdołają ku sobie nachylić, to się upijają; jeżeli zaś nie, idą dalej nie tracąc fantazji.

Cóż interesującego ujrzała za oknem? — pomyślał i wzdrgnął się na widok złamanego wpół, zakutego w gąsior człowieka z wygiętym kablakowato grzbietem.

Machnął kapeluszem, złożył sztywny ukłon i stawiając dystyngowanie chude nogi w pantoflach na wysokich korkach opuścił niegospinnie progi.

ROZDZIAŁ XII.

Dziwięć uroczystych uderzeń dzwonu ku wiecznej

— O panu Radziejowskim, któremu zakon udzielił azylu. Banitę, infamisa, warchoła bierzecie wielebni ojcowie pod swe opiekunkie skrzydła ze szkodą dla Rzeczypospolitej.

— Pan Radziejowski jest dobrodziejem zakonu tak, jak ojciec jego i dziad, którzy doczesne szczątki spoczywają w kryptach naszego warszawskiego kościoła.

— Królowi jegomości nie mniej, a nawet więcej zawdzięczacie, wielebni ojcowie. Czy nie król Jan Kazimierz ufundował ojcom Dominikanom klasztor w Piotrkowie? Dlaczego nie raczysz odpowiedzieć, ojciec wielebny? — Butler walił pięścią w furtę. — Ładnie się, ojcowie, odwiedzając królowi dając azyl banicie, infamisowi ściganemu przez prawo i łamiąc przykazania boże! A właśnie, boże! Bówiem wszelką władzę pochodzi od Boga i kto się sprzeciwia władzy, sprzeciwia się rozkazowi bożemu.

— Pan nasz Jezus Chrystus nakazał szukać nasamprzód Królestwa Bożego i sprawiedliwości jego — szybko i bojaźliwie odpowiedział ojciec furtian.

— Ojcowie dajecie azyl zdracy, wicherzycielowi, niepomni, że od jego wicherzeń gmach Rzeczypospolitej zarysować się może! Wielką odpowiedzialność przeto na swe sumienie bierzcie! — namiętnie ostrzegał Butler.

— Bóg nie dopuści! — zza furty odezwał się bolejący głos prostodusznego sługi bożego. — Bóg spełnia życzenia bojących się. Najpierwszy szlachcic w Niebiesiech, który Syna swego jedynego wydał na mękę i Zydem zrobił, ma dla naszego narodu polskiego szczególną słabość.

— Jak powiadacie, ojciec wielebny? Bóg Wszechmogący — szlachcicem? Syna swego jedynego Zydem zrobił? — Zdumiony odstąpił o krok od furty i jak gdyby badając jej odporność i wytrzymałość popatrzył na grubę dębowe bale, na masywne okucia, na czarne, plecione na podobieństwo skróconego powroza, żelazne zawiasy, i runął całym ciężarem ciała jak taranem, jakby chciał rozwalić wejście.

— Otwórzcie! — łomotał pięścią w dębowe bale. — W imieniu króla jegomości! Jako wysłannik królewski wzywam was, otwórzcie, wielebni ojcowie!

Za furtą dały się słyszeć szmery, szept, chroboty. Zasuwa podniosła się i w kwadratowym okienku ukazało się wole oko i różowy policzek ojca furtiana.

— Rzec w tym, ojciec, że banita zabrał pieczęć podkanclerską, której brak tamuje czynności rządu — z powściąganą wściekłością tłumaczył Butler jak umiał najśłodziej. — Czy ksiądz pojmuje, co to znaczy w takim wielkim Królestwie, jakim jest Rzeczpospolita, brak pieczęci, co mówię, gorzej, bo nie tylko brak, lecz możliwość dysponowania pieczęcią koronną przez banitę, infamisa, zdracę!

Nieruchome wole oko wpa trywało się przez chwile z uwagą w oberstera. — Czego od nas chcesz, synu?

— Pieczęć. Chcę odebrać infamisowi pieczęć! — wsparł się przedramieniem o furtę Butler, przyłożył czoło do wypukłości drewna.

— Nie masz u nas już pana Radziejowskiego. Wyjechał do wojewody krakowskiego księcia Dominika Zasławskiego, do jego rezydencji w Wiewiórce pod Tarnowem, proszę oglej czyli żelazny list.

D, c, n



Rys. Tadeusz Kokietec

zapytał z utajonym zadowoleniem. — Szczurów?

Elżbieta Radziejowska poruszyła przecząco głową, lecz nie mogła wydobyć słowa z zaciśniętej krtani.

— Ach, nie trzeba się bać! — zapewnił z przekonaniem.

— Król jegomość doloży sta- rań, żeby swej cudnej jejmości — śpiczastym językiem oblizał wargi — osłodzić przykrości zamknięcia w wieży i skrócić czas uwięzienia przewidziany wyrokiem.

Zdumiony przekonał się, że jego przyjacielskie awizy i przestrogi nie wywarły

pocałunkami. Nie bronila mu dłoni, obojętna i zamyślona. Posunął się dalej, objął jejmość ramieniem wpół. Nie spotkał się z oporem, lecz doznał nieprzyjemnego wrażenia, że obejmuje pień drzewa. Bezduśna kłoda. — Jeżeli ma być słodko, niech będzie jak cukier — podszepnął kusząco. — A jeśli gorzko, to jak piołun.

— Zatem gorzko — rzekła wstając.

— Waszmość możesz mi przyrzec, że uwolnisz mnie z króla jegomości od więzy? — pani Elżbieta prze-

pamięci króla Władysława i jego rycerzy poległych pod Warną zagrzmiło nad miastem.

Butler załomotał żelazną kolatką w kształcie lba smoka z antabką w paszczy. Podniosła się zasuwa i w kwadratowym okienku furty ukazało się niebieskie oko i różowy policzek zakonnika. — Synu, reguła zabrania laikom wstępu do klasztoru.

— Niesprawiedliwa to reguła, która jednym zabrania wstępu, a dla innych robi wyjątek.

— O kim mówisz, synu?

odgłosy str. 9

Na przykład „Nowa miłość”

Gdzieś z początku ubiegłego tygodnia, telewizja warszawska powtórzyła audycję wg noweli Jarosława Iwaszkiewicza — „Nowa miłość”. W tym drobnym na pozór wydarzeniu jest coś, co zastanawia.

Powtórzenia audycji telewizyjnych nie są ciałem z reguły dziełem przypadku, a na odwrót — są wręcz wymuszane dziesiątkami listów, a przede wszystkim telefonów. Podczas gdy widz kinowy a jeszcze bardziej teatralny dawno już zobojętniał, ugrzeszczonil się, nauczył traktować pokazywany mu spektakl jako „dopust Boży” — widz telewizyjny reaguje na sztukę żywiołowo i aktywnie, protestuje, gniewa się, entuzjazmuje i chwali. Komu przyjdzie dzisiaj do głowy gwizdać w trakcie spektaklu? Kto odważy się tupać nogami na wyjątkowo niedobrym filmie, bez obawy, że grzeszny lub mniej grzeszny milicjant wyprowadzi go za rączkę z kina? A tymczasem widz telewizyjny bez skrępowań łapie za telefon, nakręca wiadomy numer i nieraz aż krzyczy w tubkę: — Co wy tam za głupstwa, panie święty pokazujeście!...

Ludzie telewizji narzekają trochę na tak swobodne obyczaje, tłumacząc zacietrzewieniom że skoro abonament telewizyjny kosztuje raptem kilka złotych, to za minutę programu wypada parę groszy a czego można żądać za parę groszy — faktem jest przecież, że ocenę swoich programów otrzymuje telewizja natychmiast.

A to jest, chyba bardzo cenne i bardzo pożyteczne; warto pielegnować ten szlachetny zwyczaj dzwonienia do studia jeszcze w czasie audycji, może nawet nagrywać głosy rozmówców na magnetofon i przesłuchiwać je potem skrupulatnie.

Tyle na marginesie wzmianki „Nowej miłości”. A sama audycja — cóż, mogła się wydać nieco pretensjonalna, kokieterijna niemal; mogła się też podobać, a nawet wzruszać. Czytelnik, który pamięta nowelę Iwaszkiewicza zgodzi się zapewne, że adaptacja jej była zabiegiem artystycznym ryzykownym — młody człowiek oczekuje, jak pamiętamy, na nową kochankę, przygotował bukiet róż i ustawił go na stole, lecz z chwila gdy zabrzmiał już dzwonek u drzwi, poczynił się zastanawiać, wahać, cofać do starych miłości, uprzytomniać



prawdopodobny rozwój i koniec tej, która go czeka i w rezultacie nie decyduje się otworzyć. W samej noweli mamy tu narrację odautorską, nacełowaną niejednokrotnie na zachowania się bohatera, narrację nie wolną od komentarza, który tutaj musiał zniknąć — bohater stał się narratorem, narracją odautorską monologiem wewnętrznym i do tego wygłaszanym głośno przez Andrzeja Lapickiego, snującego się leniwie przed kamerą.

Stąd właśnie posmaczek pretensjonalności i kokieterii — kobiety wszelako płaczą...

J. P.

*) W „Kronikach” Słonimskiego pod rokiem 1931 znajdujemy na ten temat wzruszającą historię, która nie bez ukrytych intencji pozwalamy sobie przytoczyć:

„Jak bardzo — pisze Słonimski — manifestowanie swoich uczuć jest u nas nie przyjęte, przekonałem się już dawno, kiedy na sztuce wyjątkowo niedobrej wydałem parę głośnych gwizdnięć. Po paru dniach wezwano mnie na policję. Urzędnik nie podnosząc oczu znad papierów, zapytał mnie surowym głosem czy przyznaję się, że wydawałem głośne okrzyki i gwizdałem. Przyznałem się. „Czy pan był pijany?” — spytał urzędnik. „Nie” — odpowiedziałem. Urzędnik podniósł zdziwione oczy znad dokumentów i spytał z wyraźnym zainteresowaniem: „Przyznaję się pan, że pan gwizdał, i powiada pan że nie był pan pijany. Więc dlaczego pan gwizdał?” — Odpowiedziałem z całym spokojem, że gwizdałem dlatego, że sztuka mi się nie podobała. „No to znaczy że pan był pijany” — skonstatował urzędnik i nie dopuszczając do głosu, skazał mnie na pięć złotych kary. Był tak przekonany że sztuka w teatrze może się nie podobać tylko pijanemu, że wzruszyło mnie to tego poszanowanie dla sztuki...”

W tym tygodniu radzimy obejrzeć:

W tym tygodniu zakreśliłmy sobie w dostarczonym nam programie następujące audycje:

W czwartek 7.4. 60 r. o godz. 20.45 Teatr „Kobra” prezentuje widowisko pt. „Scenariusz zbrodni”. I to oprócz serwisów informacyjnych polecalibymy obejrzeć, wychodząc z założenia, iż program należy oglądać planowo, wybierając z niego ciekawsze pozycje, a nie ciurkiem jak leci.

W piątek proponujemy włączyć aparat o godzinie 20 na reportaż telewizyjny z Katowic pt. „Dymią się bure kominy”. Temat i dla nas pasjonujący. O godzinie 20.30 nadana będzie komedia Alfreda de Musset pt. „Osiół nad strumieniem”.

Sobota 9 dzień kwietnia przynosi jak zwykle obfity

program audycji dla młodzieży, a o godzinie 20.15 już dla dorosłych film pt. „Pościg” i o godzinie 21.15 filmowy program składany, pt. „Recepta na komedię”. Nie znając jeszcze założeń realizatorów sądziśmy jednak, że warto osobno polecić ten program twórcom komedii „Tysiąc talarów”.

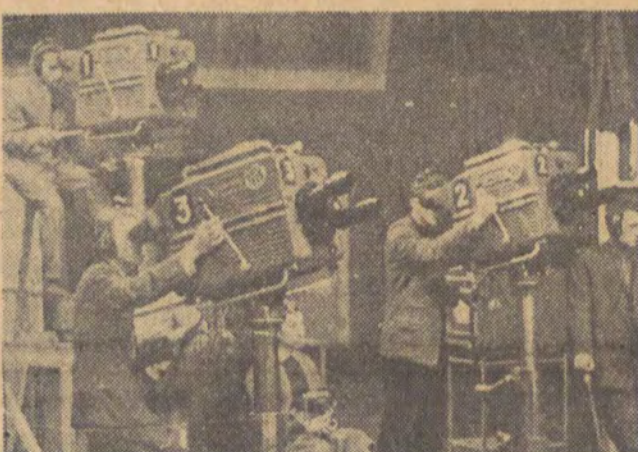
Najwięcej wartych wskazania, co nie znaczy, że najciekawszych, audycji znajdujemy w programie niedzielnym. A więc kto nie widział filmu pt. „Uczta Baltazara” może go obejrzeć o godzinie 13.40. O godz. 15 rozpocznie się transmisja z międzynarodowych zawodów gimnastycznych. O 17.15 Estrada Literacka Telewizji prezentuje „Koncert życzeń”. O 18.15 Telewizja Łódzka zaprasza na audycję teleturystyczną pt. „Technika, technika”. O godz. 20 interesująca audycja z cyklu „Twórcy muzycznego 15-lecia” pt. „Ludzie, opery” i zaraz potem film fabularny produkcji francuskiej, dozwolony od lat 18 pt. „Obcy w domu”.

Telewizji Łódzkiej Wczoraj



Nie ma wprawdzie żadnej większej okazji do „sięgania pamięcią wstecz”, do jubileuszu jeszcze daleko, ale może właśnie dlatego warto sobie przypomnieć to i owo z dziejów Łódzkiej Telewizji. Na początku istniało tylko małe studio speakera, w którym stała mała kamera przystosowana właściwie do celów przemysłowych, bez koniecznych dla operatora urządzeń kontrolnych. Obraz kadrowało się od razu na ekranie telewizora, tak jak to widzimy na zdjęciu. Ale to zdjęcie wykonano już w innym stosunkowo dużym studio.

Dziś



Dziś mamy w Łodzi właściwie jedyne w kraju z prawdziwego zdarzenia studio telewizyjne, specjalnie w tym celu budowane, posiadające nowoczesne wyposażenie techniczne. Na zdjęciu widzimy zespół kamer telewizyjnych, przekazujących na ekrany kontrolne stołu reżyserskiego różne ujęcia tego samego fragmentu sztuki. Reżyser wybiera ten obraz, który mu najbardziej odpowiada i wpuszcza go na antenę. Dzieje się tu inaczej jak w filmie, bo tam zmiany montażowe uzyskuje się na drodze spokojnej pracy przy sklepaniu taśmy, tu zaś dzieje się to wszystko na żywo.

Już tylko porównanie obu tych zdjęć pozwala ocenić skok, jaki w krótkim czasie w dziedzinie techniki uczyniła Łódzka Telewizja.

Jutro



Jutro powinno przynieść telewizji wiele urządzeń, które ułatwią pracę realizatorom. W pierwszym rzędzie telewizja nie tylko nasza, ale na całym świecie, nie opanowała jeszcze (jakby należało) techniki elektrycznego zapisu obrazu na taśmie magnetofonowej. Wprawdzie słychać z ZSRR i z USA głosy o pozytywnych osiągnięciach w tej dziedzinie, ale wszystko to aparatury po pierwsze niezmiernie kosztowne, po drugie, możliwe do stosowania jedynie w warunkach studio. Wóz transmisyjny z aparaturą do elektrycznego zapisu wizji skonstruowany w USA waży ponad 20 ton! Należy się jednak liczyć z faktem, że już niedługo, podobnie jak w dziedzinie radiofonii znajduje się jakieś rewelacyjne rozwiązanie techniczne, które spowodują, że raz zrealizowana audycja będzie można odtwarzać na antenie wielokrotnie z doskonałych nagrań.

Oczywiście takiego urządzenia życzymy naszej telewizji. Na razie jednak przydałby się własny wóz transmisyjny. O, właśnie taki, jaki oglądamy na ostatnim zdjęciu.



Bestsellery miesiąca

Podobnie jak w ubiegłym miesiącu zwróciliśmy się do twórcy Zakład Wydawnictw Lekarskich książka Stanisława Sterkowicza pt. „Boygarni PEGAZ z prośbą o wskazanie książek cieszących się w marcu największym powodzeniem.

I znów niespodzianka. Tym razem rekord powodzenia (około 200 sprzedanych egzemplarzy) bije wydana przez PIW książka Jerome Carcopino pt. „Życie codzienne w Rzymie”.

Powodzeniem cieszy się również wydana przez Państwo tytuł „Verte”.

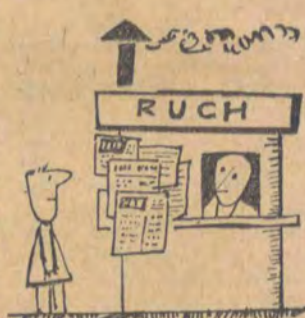
Na dalszych pozycjach uplasowały się — mówiąc językiem sprawozdawców sportowych — książka Zenona Kosidowskiego pt. „Królestwo złotych łez” i przeuroczy zbiorek łacińskich przysłów, sentencji i zwrotów noszący zachęcający tytuł „Verte”.

Niedaleko Warszawy

Od lat trzech poranna prasa warszawska docierała do łódzkich kiosków w miarę szybko i systematycznie. „Sztandar Młodych”, „Życie Warszawy” — można było otrzymać już o godz. 11 rano.

Od tygodnia natomiast docierają do Łodzi wyłącznie mutacje terenowe a więc gazety z informacją spóźnioną o co najmniej jeden dzień. Owe mutacje terenowe były dotychczas kolportowane wyłącznie w miastach odległych od Warszawy (Rzeszów, Białystok, Jelenia Góra itp.).

Obecnie, jako się rzekło, panowie z „Ruchu” ruszyli



głową i pocztą przysłać do Łodzi (150 km od Warszawy) gazety z poprzedniego dnia.

Dobre pomysły

Na dobry pomysł wpadła sympatyczna pani z Referatu Kultury Dzielnicowej Rady Narodowej Bałuty. Z narzekan mieszkańców peryferii na brak rozrywek kulturalnych wyciągnęła mianowicie praktyczny wniosek.

I oto w niedługim czasie świetnie wyposażona świet-

lica im. Babińskiego — przeznaczona dotychczas wyłącznie dla personelu otwarta zostanie dla wszystkich mieszkańców.

Tak więc mieszkańcy Aleksandrowskiej, Chochoła, Teofilowa czy Spadkowej będą mogli spotkać się w świetlicy przy szachach czy telewizorze.

Malowanki

Czy wiecie, że w Wydziale Architektury istnieje specjalny referat noszący dumną nazwę referatu estetyki?

Żdziwi was to? Kiedy obejrzeliśmy sobie bloki przy ul. Uniwersyteckiej pomalowane w kolorze niebieskich buraczków i budynku śmietankowego owa wiadomo-

ść także nas co nieco zdetonowała.

Nie jesteśmy plastykami i być może ktoś zarzuci nam ignorancję. Ale nie mniej pozwalamy sobie po wątpiewać, czy owa gastronomia na ścianach jest szczytem plastycznego kunsztu.

Co słychać na „Poddaszu”

Pamiętamy, jak na premierze „Poddasza” konferansjer powiedział, że zazwyczaj kabarety otwierają się z wielkim hukiem i entuzjazmem, zamykają się natomiast „deficytem”. Nie grozi to na pewno miłym twórcom „Poddasza” bo jak wiecie gminna głosi na „Poddaszu” słychać chrzęst zbroi, zgiełk bitewny i Irene Fenigsen.

„Poddasze” bowiem przy-

gotowuje — ale to wielka tajemnica — nowy program o tematyce historycznej, jak się u nas ostatnio zwykło marwić millenijowej. Autorzy twierdzą, że teksty są szalenie dowcipne, reżyser twierdzi, że aktorzy są kapitalni, aktorzy twierdzą, że reżyser jest uśpianiaty.

Kto wie, może to będzie nawet niezły program.

Łódzki BIGOS HISTORYCZNY



CO BYŁO A NIE JEST.
PISZEMY W REJESTR

(„Dziennik Łódzki” — pismo handlowe i literackie, rocznik 1885 miesiące VII — XII. N-ry — 132, 133, 135, 136, 141, 143, 144, 145, 211.)

PIĘKNY WIEK

We wsi Chojny (pod Łodzią) mieszka Zarobnik Walery, który, jak stwierdza jego metryka liczy obecnie 107 lat życia. Zarobnik ma już piątą żonę i jest ojcem licznych potom-

stwa. Wygląda czerstwo i pracuje w jednej z fabryk, służąc niejednemu dobremu przykładem młodzieży. Stuletni ten starzec ma jeszcze wszystkie zęby!

Z kroniki zagranicznej

MAHDI

Mahdi rozdaje order. Przewzięciu Chartum za- brano jubilerom i różnym osobom kilkaset zegarków. Otóż Mahdi obecnie rozdaje je swym zasłużonym wojownikom jako order, które mają nosić na piersiach.

Poszukiwanie pracy

ZDOLNY CZŁOWIEK

W średnim wieku, znający język francuski, niemiecki, ruski i polski z chlubnymi świadectwami, poszukuje miejsca SZWAJCARA w jednej z fabryk łódzkich. Oferty nadesłać do biura ogłoszeń w Warszawie. Senatorska 18 pod lit. E. L. 5310-4-9.

FABRYKA ZEGARÓW W ŁODZI

„Od starego Beckera przy sobie sztuce fabrykacji A. Chmielewski i założyl w r. 1859 w Łodzi pierwszą fabrykę. Pracownia Chmielewskiego zatrudnia jeszcze dziś 20 robotników krajowców a między

nimi 8 zegarmistrzów i wyrabia tygodniowo 120 zegarów ściennych z wagami które przeważnie sprzedaje na miejscu. Tu też prowadzi się fabrykacją regulatorów, ale na mniejszą skalę.

JEDEN Z HIGIENISTÓW



zamierza odwiedzić nasze miasto w celu zbadania na miejscu tutejszych stosunków sanitarnych. Zobaczyć z pewnością rzeczy o jakich nawet nie marzył.

ŻYWE OBRAZY

(próby kinematografu)

Z żywymi obrazami produkuje się od niedawna w Łodzi towarzystwo dam „Excelsior” z leśnią teatru Sellina. Warte są widzenia. Dobry rysunek i po- za uchwyciona, a nie jest to rzeczą łatwą, gdy się

zważy, że układ obrazów zmienia się w okamgnieniu. Łaknącym rozrywkę w se- zonie martwym obecnie mo- żemy sumiennie polecić przedstawienia towarzystwa „Excelsior”.

POETKA ŁACIŃSKA

Żyje w naszych czasach! heksametrem poemat łaciński w 561 wierszach! Anzoletti, która napisała

Z KRONIKI KRAJOWEJ

Projekt założenia w Ra- braku odpowiednich sfi mie- domu pisma humorystycz- scowych. nego UPADŁ, podobno z

FABRYKA DRUTU

Jedyna w kraju fabryka, fonów (Walickiego i Jan- wyrabiająca druty izolowa- kowskiego) istnieje już w ne dla telegrafów i tele- Łodzi.

WIKTOROWI NIEPCE

Wynalazcy fotografii. wzniesiono pomnik w jego rodzinnym mieście Châlons-sur-Saône.



Wygląda na to, że czoło- wi karykaturyści Francji doczekali się groźnego rywa- la. Młodzieńki — bo zaled- wie 22-letni Manuel Otéro wystartował z takim roz- machem, że o jego rysunki zabiegają obecnie redaktó- rzy największych magazy- nów, a nawet pism literac- kich.

Rzecz ciekawa, bo młody humorysta reprezentuje typ humoru, który nie może H- czyć na szerszą popular-

ność. Jego żarty są twórczą kontynuacją znanej serii „czarnego humoru”, stwo- rzonej przez Amerykanów Addamsa i Partcha. Ten gatunek operuje makabrą spiętrzoną do absurdu, a przez to tak nieprawdopo- dobna — że może wywołać już tylko — śmiech. W ostatecznym jednak rezul- tacie te rysunki pozosta- wiają osad pewnego niepo- koju. Trudny to rodzaj hu- moru, wymagający przygo-

townego czytelnika — i doświadczonego autora. Tym dziwniejsze, gdy podejmu- je taką ryzykowną formu-łę człowiek młody.

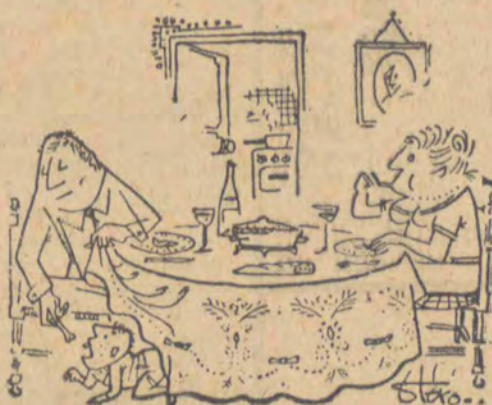
Otéro jest z pochodzenia Hiszpanem. Jego ojciec po upadku hiszpańskiej rewolucji wyemigrował do Fran- cji. Manuel dorastał na pro- wincji, w okolicach Tulu- zy. Tam też zaczął się kształcić, przez pół roku studiował w szkole sztuk pięknych, potem przez 3

lata — w szkole rzemieślni- czej. Już jako kilkunasto- letni chłopiec drukuje swo- je rysunki w tuluskiej „Depeche”.

Wreszcie wyjechał do Paryża. Początkowo praco- wał jako dekorator wystaw sklepowych, a gdy jego żar- ty przyniosły mu niespo- dziewany i zasłużony roz- wlos — zajął się wyłącznie karykaturą i malarstwem.

(J-ert)

Najostrzejsze ołówki świata



KORESPONDENCJA ZE STOLICY

Niemna teraz Warszawy, borów rozłożył majoliki... Co do pawilonu p. Poznani- nikarskich kłótni „z pro- miniaturową bazyliką, zda- nia są bardzo podzielone. Najwięcej jednak na wy- stawie cieszy mnie widok bluzi robotnika gościa, bo przeciętny adwokat, doktor lub literat oraz zgrabna warszawianka pojęcia niema o użyteczności lub prakty- czności np. rolniczych ma- szyn... a robotnik, przez po- równanie tych wyrobów ze swoimi kształci się w swym fachu, jaśniejszych nabywa o nich pojęcie...

Ogłoszenie Redakcji

Kto by miał do sprzedania daktyl „Dziennika Łódzkie- KONIA RUCYKA, raczy u- go” pod lit. L. G. 1784-1-1. dzielić wiadomości w re-

Ze starych pism wybrać

ZDZISŁAW KONICKI

MANUEL OTÉRO



Nowinki

Jak się dowiadujemy, nie doszła do skutku transakcja z NRD w sprawie dodatko- wego zakupu samochodów marki „Wartburg”, które mia- ly przyjechać do Polski jesz- cze w ciągu pierwszego kwarta- lu br. o czym pisaliśmy w naszym „Kaciku” z dnia 14 lutego. W tej sprawie samocho- dów miały nadejść również wozy „de Luxe”, w specjal- nym wykonaniu eksportowym.

Zakontaktowane samocho- dy miały być dostarczone ze Szwecji, gdzie stały u szwedz- kiego przedstawiciela niemie- ckich zakładów. Po nadejściu wozów do polskich portów okazało się, iż nie odpowia- dają one warunkom zakupu i nie mogą być przyjęte przez odbiorców technicznych „Mo- tozbytu”.

Ciekawi jesteśmy, jak wy- brnie teraz z tej sytuacji „Motozbyt”. Jak bowiem wiadomo, samochody te zostały już sprzedane w dniu 29 stycznia br. i reflektujący na nie dokonali przedpłat na konto sprzedawcy.

Z „Motoimportu” uzyska- liśmy informacje, iż w dos- tawach do Polski samochodów marki „Wartburg-Standard” nastąpi dwumiesięczna przer- wa. Tak więc zainteresowani, którzy dokonali w grudniu ub. r. przedpłat na te wo- zy, a którym „Motozbyt” wy- znał termin odbioru na II kwartał, otrzymają samocho- dy dopiero w czerwcu wzglę- dnie na początku lipca br.

Jeszcze raz o instrukcjach do „Skody”

Instrukcja obsługi to taka niewielka książeczka, która kupując samochód otrzymuje przy zakupie po to, aby mógł zapoznać się dokładnie z za- sadami i przepisami prawid- łowego utrzymania samocho- du. Instrukcja taka (jak na- pisano na wstępie) „zawie-

ra wiele cennych wskazówek dotyczących konserwacji ob- sługi i specjalnych urządzeń samochodu. Jeżeli zapoznasz się szybko z treścią niniej- szej broszurki — zachęca producent — „wówczas wszel- kie prace i zabiegi koło sa- mochodu staną się dla ciebie sprawą łatwą i prostą”.

Otóż to. Zapoznasz się z treścią książki obsługi, jeśli taką instrukcję otrzymasz przy zakupie samochodu. Tymcza- sem „Motozbyt” nie dostar- czy Ci książki obsługi przy kupnie „Skody Octavi”. W roku ubiegłym kilku klientów otrzymało książkę obsługi ra- zem z wyposażeniem samo- chodu. Gdy się jednak oka- zało, że przy następnych wo- zach dołączane instrukcje są w języku... hiszpańskim, gre- ckim względnie portugalskim, zażądano od czeskiego dostawcy przysłania książki in-strukcyjnych pocztą, aby mo- żna je było klientom wręczać razem z aktem kupna wozu. Nadeszły dwa transporty po kilkadziesiąt sztuk i „koniec”. W ten sposób np. w łódzkim „Motozbycie” większa część klientów nie otrzymała instru- kcji „Skody” w ogóle, a wro- ku bieżącym nie otrzymał jej nikt. Nie pomagają żadne in-terwencje. Okazuje się, że łatwiej zrobić samochód, niż wydrukować instrukcję... A może łatwiej wydrukować niż przesłać pocztą?

2. drugiego

„od szeregu miastecy nie można otrzymać w „Motozby- cie” ogumienia wymiarów 5.90-13 i 6.40-13... Wprawdzie wozów używających tego ogumienia jest na naszym te- renie tylko kilka, ale co ma- ja robić ich posiadacze ma- jąc zdartą oponę i perspekty- we postawienia samochodu na „kolki”?

Redaguje Zespół * Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” * Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 95. Tel. 244-78. * Warunki prenumera- ty: miesięcznie 4.- zł, kwarta- lnie 12.- zł. * Redakcja nie zwraca * Prenumeratę przy- mują wszystkie placówki poc- towoe, listonosze oraz PUPIK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Odbiór” Druk RSW „Prasa” Łódź, Zwirki IV Z. 1053. IV. 1960 r. R-4

NAJMŁODSZE GWIAZDY FILMU FRANCUSKIEGO



ELISABETH MANET



MARIE LAFORET



NADINE BASILE

NOWE FILMY

„MEŹCZYNA W SPODENKACH”

Pomysł fabularny filmu reżysera Pellegriniego jest dość często eksploatowany. Dziesięcioletni chłopiec po ucieczce z sierocińca szuka matki, którą zna tylko z opowiadań, nazwiska i adresu.

Konstrukcja filmu jest nowelowa, wiązana osobą małego bohatera. Reżyser i scenarzyści zgromadzili bogaty materiał obserwacyjny z życia kilku warstw społeczeństwa włoskiego: ubogich rybaków z południa, wielkomiejskiej zbieraniny Neapolu i Rzymu, dostojnie żyjących ludzi z północy Włoch. Szczególnie dwie części są świetne — sekwencja opowiadająca o właścicielu teatrzyku kukielkowego i o dobrym złodzieju. Te najbardziej

rozbudowane partie filmu, doskonale wyreżyserowane i zagrane, przypominają dawną świetność neorealizmu włoskiego. Znanym aktorom starszego pokolenia: Eduardo de Filippo i Memmo Caratenuto nie ustępuje młodziutki Edoardo Gero w roli tytułowej. Obok tej trójki gra znana u nas Alida Valli („Cud zdarza się raz”, „Zmysły”). Nie upiększona przez kosmetyczkę słynna gwiazda stworzyła bardzo przekonującą postać poszukiwanej matki.

W tym ogólnie wyrównanym artystycznie filmie, rażą pewne akcenty melodramatyczne.

A. N.



Rozmowa na Gubałówce

Tego roku załopiański marzec nie obfitował w pogodne dni. Nie zrażało to jednak dwóch ludzi z kamerą filmową. Wypatrywali, nastawiali obiektyw i te obiektyw Ariflexa. Dwa dni obserwowałem ich pracę, a bliższych informacji udzielił mi potem operator St. Niedbański — znany dokumentalista, autor zdjęć do filmu o Bieszczadach, do filmów: „Oblatywacze”, „Nasze typy”.

mowe mogą wywołać nieprzyjemne komentarze, a nawet „konsekwencje”...

Osoby, które filmują raczej interesują się treścią i tytułem filmu niż jego skutkami, które chyba nie będą tak groźne. Jesteśmy bardzo dyskretni i nie chcemy bawić się w skandale. Jedyne przeszkodą jest bardzo zmienna pogoda i związany z tym mały napływ gości do Zakopanego.

— Kiedy kończy Pan zdjęcie?

— Za jakieś dwa, trzy tygodnie.

— A kiedy film wejdzie na ekrany?

— Będziemy się starali ukończyć prace nad „Gubałówką” jak najszybciej. Ukazanie się filmu zależy jednak już nie od nas, a od Centrali Wynajmu Filmów. Za to już niebawem powinien się ukazać nowy film Hoffmana i Skórczewskiego według scenariusza Karabasa i z moimi zdjęciami pt. „Muzykancki”. Chcielibyśmy w nim pokazać tramwajarzy warszawskich grających po pracy w de- tej orkiestrze. Film jest już po kolaudacji.

Rozmawiał:
ALEKSANDER
NIESMIAŁEK



EKRANIK

WBREW POZOROM, zapowiedź premiery „Zezowatego szczęścia” w poprzedniej „Mieszanca” nie była dowcipem prima-apriliowym. Po długich perypetiach znakomity film Munka znalazł się wreszcie w kinach, a niebawem poznają go także widzowie zagraniczni — na Festiwalu w Cannes.

Natomiast żartem była cała „Wiosenna kronika ilustrowana”. Zbyszek Cybulski — zapewne ku swemu żalowi — wcale nie będzie przyczyną rozwodu Brigitte Bardot. Poeta francuska nie wydała (jeszcze!) znaczka z podobizną Basi Kwiatkowskiej. Wyssana jest również z pałca wiadomość o otwarciu w Łodzi kina „Aktualności”. Niestety!

I wreszcie — bezcelowe okazały się wycieczki kinomanów do parku helenowskiego, by zobaczyć tam nagą „gwiazdę” w kąpielni...

ZDECYDOWANIE UDANY jest kwietniowy repertuar kin. Poza wspomnianym już „Zezowatym szczęściem” zobaczymy dawno oczekiwane dwa inne polskie filmy — „Spotkania w mroku” Wandy Jakubowskiej i „Do widzenia, do jutra” Janusza Morgensterna. Ponadto wejdzie na ekrany interesujący film radziecki „Ewakuować miasto”, norweski — „Ucieczka przed nocą”, i włoski „Czerwony sygnał”, reżyseruje i gra główną rolę Petro Germi. Jeszcze jeden „rodzynek” kwietniowego repertuaru — to „Mój wujaszek” Jacquesa Tati.

Tyle CWF obiecała łodziąnom. A warszawiacy — poza wymienionymi pozycjami — ujrzą na dodatek znakomity film francuski „400 batów”, oraz „Oko za oko” z Kurtem Jürgensem i Folco Lulli w rolach głównych.

W POŹNIEJSZYM TERMINIE, ale jeszcze w sezonie wiosennym — zobaczymy natomiast „Tamango”, panoramiczny, barwny film francuski o handlu niewolnikami, francuska komedia składankowa

„Siedem grzechów głównych” z Gerardem Philpsem, Michele Morgan i Henri Vidalem, amerykański western „Złamała strzałę” oraz dowcipna komedia niemiecka „W czepku urodzeni”, nagrodzona złotym medalem na Festiwalu w Moskwie w ub. r.

NIEBYWAŁYM POWODZENIE cieszą się w USA superfilmy o tematyce biblijnej. Po ogromnym sukcesie kasowym „Dziesięciorga przykazań” — wznowiono ostatnio nakręcony przed 15 laty inny film reżyserii Cecil de Mille’a — „Samson i Dalila”. Na zdjęciu obok — Hedy Lamar w roli Dalili.

Przy okazji warto przypomnieć mało znany fakt, że ta sławna niegdyś, a dziś już nieco zapomniana aktorka — jest z pochodzenia Czeszką. Błyskotliwą karierę zaczęła na początku lat trzydziestych w półpornograficznym filmie Gustawa Machatego — „Ekstaza”.

DONALD

„LUDZIE, METRY, SEKUNDY”

Film dokumentalny rzadko wytrzymuje rozmiar pełnego metrażu, nawet przy najbardziej atrakcyjnym temacie. Aby rzecz się powiedziała, trzeba na to nieprzeciętnego majstra — montażysty, a przede wszystkim potrzebny jest pomysł, celna formuła dramatyczna.

Realizatorem reportażu o lekkoatletycznych mistrzostwach Europy w Sztokholmie — udało się znaleźć taką formułę: szkielec filmu stanowi relacja o biegu maratońskim. Co jakiś czas odchodzimy od głównego stadionu, by na trasie śledzić heroiczną walkę zawodników w najtrudniejszej dyscyplinie mistrzostw.

Dodatkowym walorem są zdjęcia. Kręcone w fatalną, deszczową pogodę — nie uroniły chyba nic z

ważnych wydarzeń na sztokholmskim stadionie. Świetnie zwłaszcza podpatrzono i zmontowano sceny poprzedzające start w różnych konkurencjach. Te sekwencje słuszenie zostały rozbudowane, stajemy się bliskimi świadkami najbardziej dramatycznych przeżyć sportowców — oczekiwania na start.

Film „Ludzie, metry, sekundy” otrzymał niezłą wersję polską. Komentarz czyta Bohdan Tomaszewski. Choć z dykcją, jest u niego raczej średnio, to jednak istotne jest co innego: on właśnie relacjonował nam przez radio przebieg mistrzostw — i jego głos najbardziej nam się kojarzy z relacją o sportowych wydarzeniach.

(Jot)

„NOC NAD PACYFIKIEM”

Wielki amerykański „Super-Constellation” startuje do lotu z Honolulu na Wybrzeże Zachodnie. Na pokładzie samolotu leci kilkudziesięciu pasażerów i pięć osób załogi. W połowie trasy następuje awaria jednego z silników, co grozi pasażerom i załodze przymusowym wodowaniem na wzburzonym oceanie.

Taki jest szkic fabularny amerykańskiego filmu „Noc nad Pacyfikiem”. Film stanowi studium ludzi, ich postawy w obliczu niebezpieczeństwa, w sytuacjach ostatecznych.

Przeżycia i perypetie bohaterów mają wszelkie dane prawdopodobieństwa, rozegranie jednak akcji w ograniczonym miejscu (prawie

wyłącznie w kabinie samolotu) jest zadaniem trudnym i niewielu reżyserom udało się ono udaje. Niestety, dramaturgia „Nocy nad Pacyfikiem” jest bardzo słaba. Film ma stanowczo za drogi metraż, tempo chwilami zupełnie słabnie. W wielu miejscach montaż filmu jest niejasny, razi szczególnie początek z retrospekcją.

Mimo słabości dramaturgicznych „Noc nad Pacyfikiem” można nazwać pochwałą ludzkiej odwagi w walce z losem, z żywiołem. Swoim nastrojem przypomina znane książki francuskiego lotnika-pisarza Saint-Exupéry’ego — autora „Nocnego lotu”.

A. N.

Wszystkie braki i słabości „Młodej gwiazdy” znalazły wyolbrzymione odbicie w innym filmie tegoż gatunku — „Kosmos wzywa”. Stanowi on obszerną antologię naukowych, psychologicznych i dramatycznych niedorzeczności, wyłożonych na zasadzie klasycznej łopatologii. Sytuacji nie ratują nawet interesujące zdjęcia trickowe. Na marginesie obu filmów astro-

nautycznych: smuci najwięcej niewzruszona pewność autorów, którzy są przekonani, że za ileś tam lat, w okresie podróży człowieka na Wenus — polityczne rozbieżności będą w dalszym ciągu uniemożliwiać współpracę uczonych z różnych krajów. Panowie — czy nie stać nas na szczyptę optymizmu?

J. W.

„KOSMOS WZYWA”